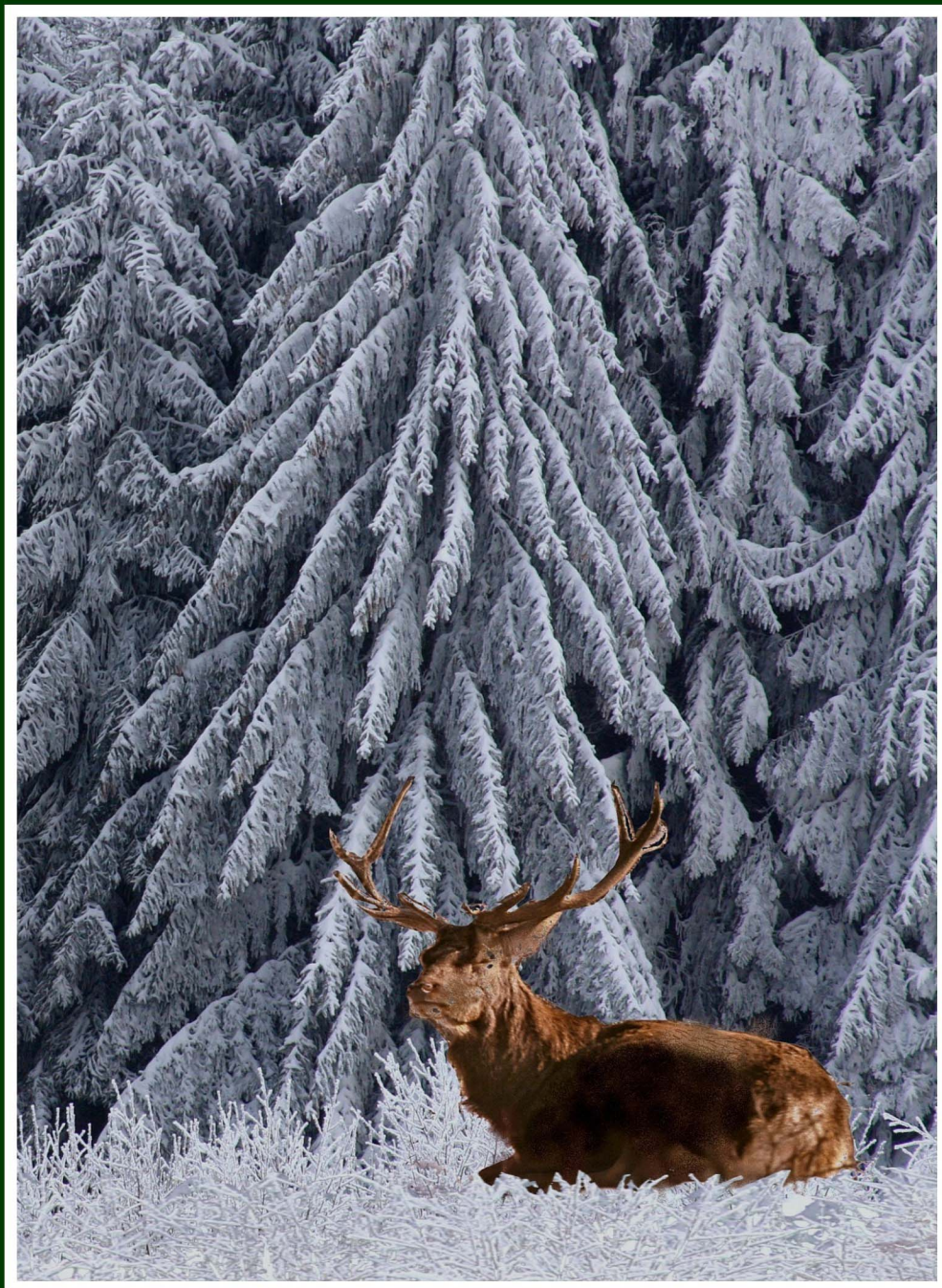
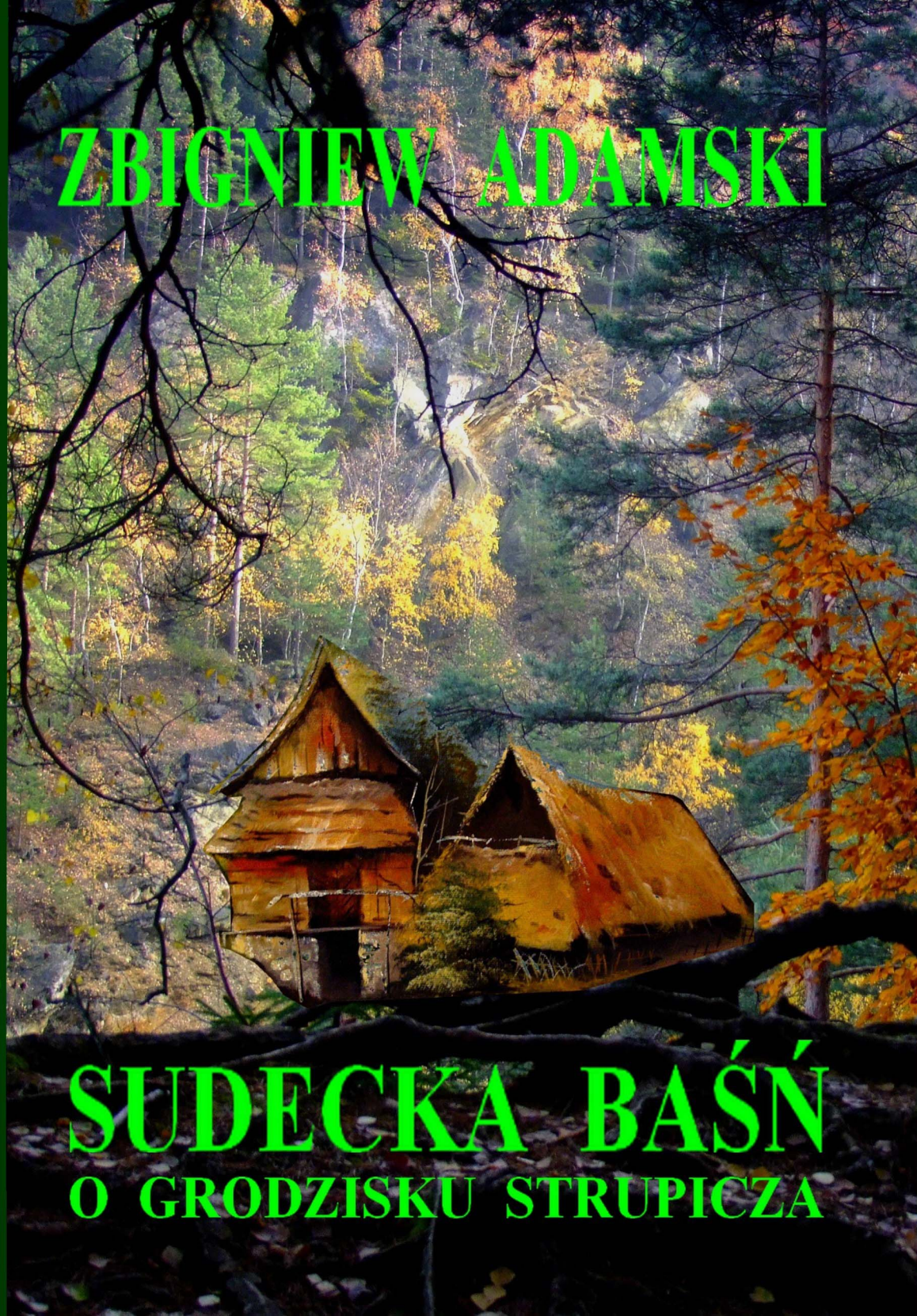




Adamski Zbigniew

SUDECKA BAŚŃ O GRODZISKU STRUPICZA



ZBIGNIEW ADAMSKI

SUDECKA BAŚŃ
O GRODZISKU STRUPICZA



Piastowską straż nad Bobrem



Na okładce:

* Lasy na Wzniesieniu Dziwiszowskim w Górach Kaczawskich miejscami przypominają pierwotną puszcę. Grodzisko Strupicza znajdowało się na skraju Kotliny Jeleniogórskiej nad rzeką Złotuchą. Mogło tak wyglądać za czasów Piastowskich od strony Bobru i Jeleniej Skały.

** Zaśnieżone lasy w Górach Kaczawskich podczas srożej zimy w styczniu 2010 roku. Dawniej było tutaj siedlisko jeleni i niedźwiedzi

Zbigniew Adamski



SUDECKA BAŚŃ

O GRODZISKU STRUPICZA

W KOTLINIE JELENIOGÓRSKIEJ

Opowieść z X-XIV wieku

WYDAWCA
Jeleniogórskie Centrum Informacji
i Edukacji Regionalnej
KSIĄŻNICA KARKONOSKA



Redaktor
Ivo Łaborewicz

Opiniodawca
Stanisław Firszt
Kazimierz Koncewicz
Romuald Witczak

Fotografie,
teksty i rysunki
Zbigniew Adamski

Projekt okładki i skład komputerowy
Zofia Wąsik

Wydanie czwarte – poprawione 2014r.

ISBN 978-83-929373-2-6

Druk i oprawa: TOTEM Inowrocław

www.totem.com.pl

PRZEDMOWA



Dzieje Kotliny Jeleniogórskiej są długie i bogate w wydarzenia historyczne, a początki osadnictwa na tym terenie mają zaranie przed tysiącami lat. Nie ma zbyt wiele źródeł archeologicznych, które mogą świadczyć o bytowaniu tu przed wiekami większych grup ludzkich. Źródła pisane dla tego obszaru pojawiają się dopiero w XIII wieku. Legendarne przekazy, które powstały o co najmniej trzy, cztery stulecia później, a dotyczące powstania tutaj pierwszych, większych osad, dotyczą najwcześniej początku XI wieku.

Tak naprawdę to właściwie niewiele wiemy o tamtych czasach. Wszystkie posiadane przez nas informacje o powstaniu tu wówczas siedzib ludzkich wskazują, że obszar ten w tamtym okresie był pokryty dziewiczym, pradawnym borem, pełnym zwierzyny i pozbawiony jakichkolwiek dróg i szlaków handlowych. Największym zatem bogactwem tej pięknej ziemi było drewno i wszystko to, co dawał las tj. miód, owoce leśne, a przede wszystkim mięso i skóry upolowanych zwierząt. Trudny, górzysty teren, pozbawiony dodatkowo urodzajnej ziemi, nie zachęcał do osiedlania się tutaj.

Mimo tego jak wiemy, już u zarania Państwowości Polskiej, zaczęły powstawać tu większe skupiska ludzkie, które dały początek istniejącym dziś osadom, w tym głównemu tu ośrodkowi, jakim jest Jelenia Góra.

Ponad tysiąc lat temu powstawało Państwo Polskie wśród borów, mokradel i nieprzebytych lasów. O tych czasach nic bliższego właściwie nie wiemy. Daje to możliwości opisywania tamtych czasów w formie baśni. W taki sposób powstawało dzieło Józefa Ignacego Kraszewskiego pt.: „Stara baśń”, opisujące legendarny gród Popiela, mysią wieżę i okoliczności przejścia władzy przez

ród Piastów, który przez następne długie wieki tworzył podwaliny pod istniejące do dzisiaj Państwo.

Identycznie przedstawia się sprawa jeśli chodzi o początki osadnictwa w Kotlinie Jeleniogórskiej, Karkonoszach i w ogóle Sudetach. Jak już wspomniano wyżej, brak źródeł historycznych dało dawniej podstawę tworzenia legend na temat powstania osad i ośrodków handlowych na tym terenie. Choć ciągle przybywa źródeł archeologicznych, jest ich jednak zbyt mało, aby jednoznacznie określić początki osadnictwa w tych nieprzyjaznych dla człowieka rejonach Dolnego Śląska.

Ten brak informacji, oparty na podstawach naukowych tj. źródłach historycznych i archeologicznych, mogą wypełnić tylko baśniowe, najstarsze dzieje regionu, opisane przez kogoś, kto kocha tą ziemię i oczami swojej wyobraźni przedstawia sobie tamte odległe czasy, a jednocześnie potrafi to przelać na papier.

W naszym regionie osobą taką jest niewątpliwie Zbigniew Adamski, autor wielu publikacji na temat przyrody, łowiectwa i historii. Niniejsza publikacja jest jego próbą opisania czasów i wydarzeń, które nikną w pomroku dziejów, a wszystko to na tle pięknej górskiej przyrody.

Autor nawiązuje niewątpliwie do „Starej baśni” J. Kraszewskiego, co uwidacznia się w samym tytule „Sudecka baśń”. Czy przedstawione przez Niego wydarzenia i osoby mogły mieć miejsce i istnieć, jest rzeczą raczej wątpliwą. Autentyczne są natomiast przedstawione tu realia przyrodnicze i Sudety są piękne jak zawsze, czy to przed tysiącem lat, czy obecnie. Najważniejsze jest, aby tak pozostało i ciągle trwało. I oto chodzi niewątpliwie Autorowi.

Stanisław Firszt
Dyrektor Muzeum Przyrodniczego
W Jeleniej Górze

NA POCZĄTKU BYŁA MYSIA WIEŻA

Na Święta Bożego Narodzenia w roku 2009 otrzymałem kolorową widokówkę z Wyspy Kodiak – Alaska, od pani Izabeli Bernatt, mieszkanki USA. Oprócz życzeń, między innymi napisała „wiem jak bardzo bliska jest panu Przyroda i Natura Karkonoszy. Mam prośbę, aby pan napisał choć jedną stronę wspomnień o moim ojcu, tak jak pan opowiadał to w Jeleniej Górze, o jego pasjach fotograficznych i innych zainteresowaniach przyrodniczych.



Z panem Stanisławem Bernattem spotkałem się w 1952 roku, po raz pierwszy w Fabryce Włókien Sztucznych nr 7 w Jeleniej Górze, gdzie pełnił funkcję kierownika zaopatrzenia. Przyjaźń ta trwała z obopólną korzyścią jeszcze przez wiele następnych lat.

Wcześniej jednak, bo jeszcze przed wojną, wiele razy uczestniczyłem w wyprawach do wujka, który był sołtysem we wsi Rzepowo nad Gopłem. Tam mój ojciec uczestniczył w jesiennych polowaniach na kaczki, bażanty i zające, a ja z ciekawością przysłuchiwałem się stojącej za jeziorem wysokiej Mysiej Wieży. Zbudowana przez Kazimierza Wielkiego w 1350 roku z czerwonej cegły w kształcie ośmiokąta. Robiła niesamowite wrażenie. Jak tylko miałem chwilę wolnego czasu dołączałem do grup ją odwiedzających i pilnie nasłuchiwałem legend i sutych opowieści historycznych. Dość szybko Piastowie, Popiele i Myszkowie stali się dla mnie, ciekawymi rodami. Zapamiętałem też, że ziemie polskie zjednoczył Mieszko I, a Bolesław Chrobry realizował program rozszerzenia granic na inne plemiona słowiańskie.

Mój przyjazd do Jeleniej Góry odbył się pod koniec sierpnia 1952 roku. Miałem wówczas nakaz pracy do ówczesnej Fabryki Włókien Sztucznych w budowie. Ze sobą przywiozłem aparat fotograficzny, którym już wcześniej robiłem reportaże do kroniki

harcerskiego koła. Moje zainteresowania szybko poznali przełożeni i wiele z mych nowych zdjęć trafiało do gablot w zakładzie, a krajo-brazy i zwierzęta z Pogórza Karkonoszy do miejskich witryn.

12 lipca 1953 roku ukazał się pierwszy numer jednej z najstarszych na Dolnym Śląsku, zakładowej dekadówki „Wspólny Cel”. Z moimi zainteresowaniami fotoreporterskimi szybko trafiłem do redakcji. Wówczas mieściła się ona na drugim piętrze, w budynku włókien stilonowych, naprzeciw działu zaopatrzenia. W zakładach tych wówczas pracował co czwarty mieszkaniec miasta, a pracowników było ponad trzy tysiące.

Mój kontakt z panem Stanisławem i jego biurem, był niemal każdego dnia. Po jego odejściu z zakładu, nasze kontakty urwały się. W roku 1961 spotkaliśmy się na wystawie przyrodniczej w sali NOT i odtąd przyjaźń znów kontynuowaliśmy z powodzeniem przez następnych wiele lat. W latach sześćdziesiątych byłem częstym gościem pana Stanisława w jego domu przy ul. Podgórze 6.

Wędkarstwo i przyroda Karkonoszy, były tematami naszych długich rozmów, aż do czasu, kiedy opowiedziałem o Mysiej Wieży. Wówczas pan Stanisław wyciągnął z szafy ponad dziesięć starych rysunków piastowskich grodów, stojących nad Bobrem. Opowiedział też mi wiele historii związanych z tymi warowniami, które zamieszczałem w zakładowej gazecie.

Te informacje i uwagi zanotowałem i po wielu latach do nich wróciłem. Osobiście też większość tych starych grodzisk i zamków odwiedziłem, zrobiłem wiele notatek, rysunków i zdjęć, które umieszczałem w prasie, w gazecie i książce.

Autor

NA SKRAJU WIELKIEJ PUSZCZY

Uzarania naszej państwowości, za panowania Mieszka I, południowo-zachodnie krainy Polski uważane były przez odwiedzających je cudzoziemców i podróżujących po osadach Lechickich mnichów, za ziemie pokryte gęstymi borami i nielicznie zamieszkałe. W lasach żyły plemiona o jasnych włosach i niebieskich oczach, średniego wzrostu i o bardzo odważnych charakterach. Handlowali żywnością, ciepłymi krzynami-kożuchami, pitnymi nalewkami, miodem i woskiem, z którego wytwarzali palące się kaganki i świece.

Już do tradycji należało, że każdej wiosny rzesze miejscowych bartników znad Gopła, Kruszwicy, Biskupina, spod Lednicy, Gniezna i Poznania, zbierały się na ziemiach Dziadoszan. Wędrowali po Wielkich Zachodnich Borach, na rubieżach kraju, by zdobywać zapasy mięsa, skóry, owoce leśne, rośliny lecznicze i wybierać miód z barci. Trudnili się także gromadzeniem wosku, jak również bobrowych skór na ciepłe futra i jelenich na okrycia dachów swych chizyn oraz loszek, gromadzeniem mięsa z dziko żyjących zwierząt.

Posiadali liczne stada koni, krów i owiec, a nawet i kozy. W jukach na wózkach i konno wywozili do Winedy, nadgranicznego miasta nad Odrą, swoje polańskie lipowe rzeźby słowiańskich bożków, grandle opravione w bursztyn, kłoce i bransolety. Ale również naszyjniki z poroży i kości zwierząt oraz ciekawe figurki, suszone grzyby i zdrowotne napary. Handel był znakomitym zajęciem i przynosił znaczące dochody wszystkim ludziom żyjącym na skraju puszczy. Z upolowanych turów, niedźwiedzi i jeleni mięso ścierano, peklowano i suszono, przechowywano w pęcherzach, przeznaczano na handel i podróże oraz na długie zimy.

Każdego roku zapotrzebowanie na produkty leśne wzrastało i każdej wiosny znalezienie coraz to nowych barci wymagało zręczności i szczęścia. Pasieki były skrycie strzeżone i ukrywane, a bartnicy by nie zdradzać swej obecności i ponosić strat w swych dochodach z pracy, budowali swe chizyny w ukryciu przed ludzkim wzrokiem, często głęboko w ziemi i coraz dalej, w niedostępnych ostępach leśnych.

W ten sposób bardzo dużo bartników od niepamiętnych czasów zdobywało leśne dobra i nimi handlowało. Wzrastające zapotrzebowanie na nie zmuszało jednak do ciągłego docierania do nowych, zasobniejszych siedlisk pszczół na pniach drzew, te jednak znajdowały się w coraz dalszej odległości od ich domostw i wędrówki te były trudniejsze i kosztowniejsze.

Zaraz po wielkich śniegach w tym roku, nad Prosnę, Barycz i Obrę, do plemienia Dziadoszan przybył z Grodziska Strupicza znad Bobru smerda Hanusch, przyjaciel Kmeta Homana.

W tajnej rozmowie ze starszyzną plemienną wyjawił swój cel podróży. W nocy przy palących się kagankach i świecach słuchano go z zaciekawieniem. Kmet Homan miał do niego pełne zaufanie, bo przed rokiem pożegnał go na wieść o potrzebach w grodzisku Strupicza. Hanusch opowiadał skrycie, że Śląsk od niepamiętnych czasów należy do Polski, która od poł. IX w. znajdowała się pod panowaniem władcy z rodu Piastów. Sprawny polityk Mieszko w roku 965 zawarł związek małżeński z czeską księżniczką Dąbrówką, a w 966 roku przyjął chrzest. Przez to cały ten kraj był powoli chrystianizowany, pomimo, że lud jeszcze wyznawał starych bogów. Chrystianizacja trwała długo, aż do XI wieku. Wówczas to na zachód od Dziadoszan, obok grodziska nad Bobrem powstała wieś Strupice, a dalej na wzgórzu, u ujścia Kamiennej powstawał gród Jelenia Góra.

Bolesław I Chrobry w roku 1000 na Zjeździe Gnieźnieńskim od Cesarza Ottona III, pielgrzymującego do grobu św. Wojciecha otrzymał prawdopodobnie koronę królewską i włóczęgę oraz reli-



Rankiem, przed świętem Kupały wyruszyło w drogę trzydzieści wozów i koni.

kwią - gwóźdź z Krzyża Świętego. Oficjalna koronacja odbyła się w 1025 roku w Gnieźnie.

Po nim panował jego syn Mieszko II, w roku 1040 na tron polski wstąpił Kazimierz, w 1058 Bolesław II Śmiały, potem Władysław I Herman, a po nim jego syn Bolesław III Krzywousty. Podniósł on gród nad Bobrem - Jelenią Górę do rangi miasta i otoczył ją szeroką fosą i murami obronnymi.

Rosnąca za Bobrem Sudecka Puszcza była, ze względu na swą niedostępność, najdłużej zwartym, gęstym i nieprzebytym kompleksem leśnym. Grodzisko Strupicza, z którego przybył smerda Hanusch, istniało już wieki. Zbudowano je nad Bobrem jak i wieś o tej samej nazwie. W pobliżu stał już zamek warowny Chojnik i powstawało nowe miasto Jelenia Góra.

Aby na terenie puszczy mogły powstawać osiedla i drogi, a ludzie mogli docierać do skarbów leśnych, szukać kruszców, ziół i szlachetnych kamieni, musiano prowadzić wyrąb drzew i budować drogi.

Z braku miejscowych drwali zatrudniano mnichów niemieckich sprowadzonych przez Bolesława II Rogatkę. Wtedy to rozpoczęła się akcja osadnicza kolonistów. Małżonek św. Jadwigi Henryk I Brodaty wyraził zgodę na przybycie na Śląsk wielu niemieckich zakonników. Ksiązę Bernard Lwówecki sprowadził joannitów i nadał im ziemie wokół odkrytych ciepłych wód. Osadę nazwano Ciepłowody. Stan ten trwał przez wiele lat.

Hanusch opowiadał spokojnie. Strupicz przed nim wyjawiał, że zaczęto zmienzać nazwiska rodzimych ludzi. Wymieniano je, na podobne, nazwiska do przybyłych sąsiadów. Nawet i jego nazwisko odtąd wymawia się „Strupitz”.

Dlatego zwraca się do Dziadoszan w imieniu swego księcia o pomoc w przysłaniu rodzimych drwali, cieśli i budowniczych chizyn. Zachwalał też, że na Bobrze od wielu lat działa wielki młyn wodny o 6 kołach, w górach są szlachetne kamienie ponad to można w nich znaleźć złoto, srebro i rośliny lecznicze.

Zaciekawienie starszyny-Dziadoszan było ogromne, podjęto też przygotowanie wielkiej wyprawy do Grodziska Strupicza. Po drodze wyprawa miała wykorzystywać zachodnie puszcze do zbierania miodu i żywności, aby do grodziska nad Bobrem, nie trafić z pustymi rękoma. Wybrano najsilniejszych łuczników i bartników z wielkopolańsko kujawskich, słowiańskich plemion znad Noteci i Odry dla niesienia pomocy bratniemu grodzisku.

Wieści od lat płynące od zielarzy i bartników wędrujących po południowo-zachodnich borach, informowały o bogatych siedliskach tu dzikich zwierząt - turów żubrów, niedźwiedzi, jeleni, bobrów oraz znajdowaniu szlachetnych skał i cennych kruszców. Stąd zainteresowanie leśnymi skarbami było coraz większe i coraz więcej chętnych na odległe wyprawy wyruszało.

Z początkiem wieku XII kronikarz i naoczny świadek Gall wspominał o dużej obfitości pszczoł i miodu w lasach lechickich. Również w raportach papieskich komunikowano, że w Polsce handlowano ciepłymi futrami i wielką obfitością smacznych miodów, przez co zachęcano do wędrówek po naszym kraju.

Zdobywanie miodu i wosku miało wielkie znaczenie gospodarcze. Niezwykle dużo zużywano go do produkcji trunków, do celów leczniczych i wyrobów domowych. Wosk był surowcem niezastąpionym, używano go do wyrobu świec, a zwłaszcza na potrzeby liturgiczne. Miał też zastosowanie przy bieleniu płótna, w garbarstwie, stolarstwie i garncarstwie, do wytwarzania pieców, pieczenia kołaczy, ale i wypalania cennych ozdobnych kafli piecowych.

W poprzednich latach z wypraw do puszczy nie powróciło wielu bartników i myśliwych, gdyż bory nad Odrą zamieszkiwali często groźni Serbowie Nadłabiańscy, były też nawiedzane przez handlarzy znad Łaby i z Turynгии. Spotykano również maszerujące obce wojska i uzbrojonych awanturniczych włóczęgów szukających przygód w leśnej głuszy.

W dawnej słowiańskiej krainie nad Odrą, Bobrzanie, Biezuńczanie, Dziadoszanie z Czeladzi Wielkiej, Żukowa i Kletnicy przygotowali wyprawę na Pogórze Puszczy Sudeckiej. Byli przekonani, że uda się im zdobyć zapasy mięsa i skór, przywieźć wiele baryłek miodu ze starych drzew rosnących przy dawnym przejściu do Czech, szlakiem wypraw mieszkowych.

Jedni wierzyli w bogactwa naturalne, inni w zdobycie skór niedźwiedzi i mięsa, a jeszcze inni w wydatną pomoc Strupiczowi oraz spokojny powrót do domu ze szlachetnymi kamieniami i cennym kruszczem.

Całością wyprawy miał dowodzić Kmet Homan z Lednicy, wybrany przez starszyznę, a jego smerdą został Hanusch, który przybył z osady Strupicza znad Bobru, z zapotrzebowaniem na leśnych drwali i budowniczych chizyn w wielkiej puszczy za rzeką.

Na wyprawę, która miała dotrzeć aż nad rzekę Bóbr i do Puszczy Zgorzeleckiej, a potem równie do niedostępnej Sudeckiej, wybrano grupę doświadczonych drwali, bartników, myśliwych, znawców kruszców i szlachetnych kamieni. Wspierać ich miał orszak zbrojnych wojów wyposażonych w łuki i proce oraz oszczepy. Była też dwornia znająca zachodnie bory i tajemnicze ścieżki oraz straże opiekujące się wyprawą.

Przewodnicy znali puszcze, obyczaje i języki sąsiadów, byli biegli we władaniu mieczem i łukiem. Wszyscy wcześniej przebywali w zachodnich nadgranicznych osadach nad Odrą i Bobrem, znali dobrze tutejszych mieszkańców.

Wędrował z nimi też stary Jawor ze swą żoną i dziećmi, uznawany przez chłopów znad Prosny za znawcę zachodnich borów. Jego nędzna chizyna stała na skraju lasu, obok wielkiego jawora, stąd otrzymał nowe nazwisko, bo przedtem zwał się Michał Łopata. Jego pięciu chłopców nazywano Jaworkami. Najstarszy był Maciej, potem Jurek, a ci mniejsi jeszcze nie mieli imion. Jawor chętnie wybrał się w tą daleką podróż, bo miał nadzieję na spotkanie się ze starszym bratem Ściborem Jaworkiem, który go-

spodarował od dziesiątków lat przy barciach i hodował pszczoły nad Wielką wodą.

Wiosna tego roku była piękna, słońce już rozgrzewało rośliny, budziło je do życia, stada gęsi i czajek krążyły nad trzęsawicami i rozlewiskami Baryczy i Obry. Lasy zaczęły się zielenić i zrobiło się ciepłej.



Hanusch był pewien, że wyprawa jest dobrze zorganizowana, że wczesne straże przygotowane do wyjścia na leśne dukty, konie wypoczęte, a wozy zaopatrzone w sprzęt i żywność w wystarczającej ilości. Wśród drużyny panował wyśmienity duch i wiara w bogate i szczęśliwe zakończenie wędrówki.

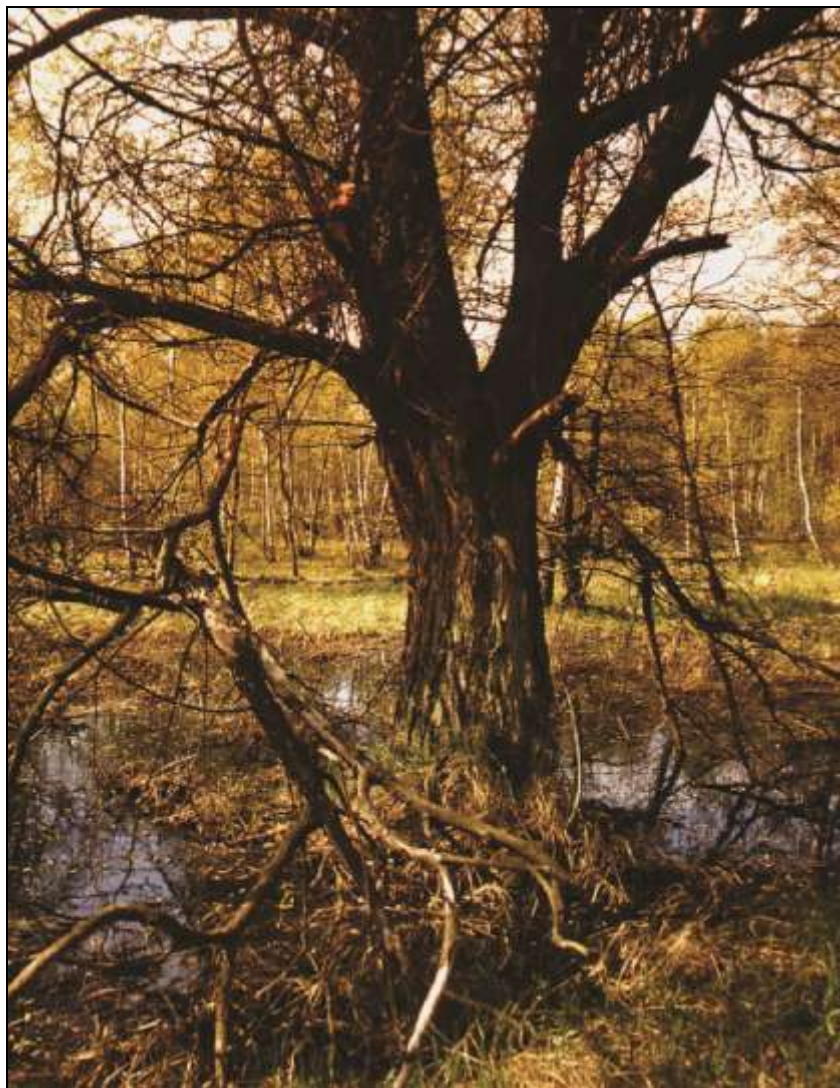
Rankiem wyruszyło w drogę trzydzieści wozów i koni, na dotąd nieprzetarty szlak. W drugim wozie jechał ksiądz Wojciech Miech z Mścislawem, obaj z czeladzi Popiela znad Gopła, którzy

przybyli nad Obrę z wyrobami z bursztynu. Uroczyste błogosławieństwo księdza Miecha pożegnało grupę Dziadoszan i wyprawa ruszyła w daleką drogę.

Pierwszy odcinek leśnego szlaku wiódł do przeprawy na Odrze, pomiędzy Głogowem a Ścinawą, przy znanym przejściu z Wrocławia do Miśni i Erfurtu. Był dobrze znany i nie powinien wyprawie stawiać większej przeszkody, tym bardziej, że pogoda nie zapowiadała zmiany i opadów deszczu.

Wędrowali Doliną Jezierzycy, poprzez Wrzosa, Orzeszków i Młoty, wśród starych leśnych osad i cmentarzyisk oraz grodziska w widłach rzek Jezierzycy i Juszy, wśród drewnianych krzyży i ulepionych z gliny kapliczek, ustawionych wśród starych, wielkich dębów. Dolina ta była podmokłą i gęsto zadrzewioną krainą. Spotykali łosie, jelenie i sarny, nad lasami krążyły orły, widzieli też licznie żyjące tu dziki.

Orszak Homana wędrował pierwotnymi starymi lasami, o wielkiej zbiorowości roślinnej, wśród gęstych lasów liściastych, szczególnie olchowych i wśród potoków i bagien, a za Uroczyskiem Wrzosowym także kompleksów sosnowych. W bardzo trudnym, nie uczęszczanym terenie bez ścieżek i dróg tylko dzięki sprzyjającej aurze bez większych kłopotów pokonywali te leśne wertepy. Wzdłuż Jezierzycy dobrnęli do Odry. Tu czekała ich przeprawa trudna i odpowiedzialna. Byli jednak uparci i odporni na trudy i znoje, bo ślubowali wytrwać do końca.



Po trzech dniach stanęło przed nimi „turze uroczysko” otoczone borami i zapomniane od wieków. Nie wiodła tu żadna większa drożyna, jedynie tylko z lewej strony niewielkie wzniesienie twardej ziemi zachęcało do kontynuowania dalszej drogi.



W okolicach Bolkowa hodowane jest bydło szkockie do złudzenia przy-



pominające dawne tury choć z krótszymi ogonami, które kiedyś żyły na terenach leśnych całej Azji i Europy.

W Polsce zamieszkiwały cieplejsze południowe tereny, natomiast bardzo podobne do nich żubry przyjęły na swą ostoję północne rejony kraju, Litwę, Żmudź i Prusy.

Kroniki polskie głoszą „W roku 1599 turów więcej nie masz jak 24

z młodymi. Zdaniem łowców, sroga zima wygubiła zwierzę królewskie”. W 1630r napisano, że zwierz królewski wyginął w Polsce w roku 1627.

TURZE UROCZYSKO

Przeprowa przez rzekę trwała przez kilka dni, mimo niezbyt bystrego nurtu, tratwy kilkakrotnie przepływały ją, obciążone ciężkim dobytkiem. Po trzech dniach stanęło przed nimi „turze uroczysko” otoczone borami i zapomniane od wieków. Nie wiodła tu żadna większa drożyna, jedynie tylko z lewej strony niewielkie wzniesienie twardej ziemi zachęcało do kontynuowania dalszej drogi.

Horodyszczce to otoczone było starymi drzewami, wśród których, dawno osiadła gromadka ludzi, wzniosła chizyny i palenisko. Dziś już doszczętnie zniszczone i zapomniane, jedynie pozostały po nim wystające z gęstej zieleni resztki częstokołu, zasiek i wygasły ożók.

Wokół rozległe bory rosły na znacznie uboższych pierwotnych siedliskach. Podobnie jak w Borach Dolnośląskich, stały tu lite drzewostany mieszane i sosnowe tylko z niewielką domieszką dębu, buka, brzozy, świerka i olszy. Stał też przed nimi potężny kompleks leśny, ciągnący się od Nysy Łużyckiej i Borów Dolnośląskich. Był to największy obszar leśny przy zachodnich granicach państwa. W naszym kraju, na zachodniej słowiańszczyźnie był najcieplejszym miejscem. Każdej zimy średnie temperatury trzymały się blisko zera i były ostojami licznej żyjącej tu dzięki zwierzyny, a także przepadających za ciepłem turów.

Na skraju lasu stał stary dąb, na pół spróchniały z oschłymi konarami. Ozdabiała go drewniana figurka kolady, bóstwa Nowego Roku. Poświęcony duchom, wokół ułożono z kamieni znaki czci, które o bóstwie miały pamiętać. Po radzie starszyzna uznała przeprowę przez szeroką rzekę za znaczący wysiłek i postanowiła pozostać nad nią do święta Kupały. Dzień ten przypadał za kilka nocy. Tu postanowiono rozstawić chizyny i pobudować loszki na przywiezione zapasy i żywność.

Pod starym dębem na horodyszczu zwołano wiec, na którym miano podyskutować nad dalszym losem wyprawy, a także święcić najdłuższy dzień tego roku, dzień Białego Boga. Miejsce to było zaczarowane i groźnie wyglądało. Obok dębu poświęconego duchom, rozciągał się żalnik, stary cmentarz.

Pora wieczorowa w starym lesie była zagadkowa. Do ich chizyn można było dostać się jedynie od strony rzeki i wąską ścieżką z lasu prowadzącą obok dębu. Na kilka dni wyznaczono uzbrojone straże obserwujące teren z wysokich drzew i ustalono hasła porozumiewawcze.

Z boku polany płynęła wąska struga ze źródelka w głębi puszczy, a na jej czystym brzegu pobudowano drewnianą kładkę do czerpania wody. Dalej, przy ujściu do wielkiej rzeki, wybrano miejsca do kąpieli.

Święto pogańskie, dzień „Białego Boga”, najdłuższy dzień roku obchodzono w całej Europie. Wielkie ogniska palono nad Wisłą i Odrą, ale też i nad Sekwaną, Dunajem i Łabą. Noc była najkrótsza ze wszystkich i zaczynała się, kiedy ostatnie promienie zachodzącego słońca opuściły korony najwyższych drzew.

Wówczas też zapłonęło wielkie ognisko z żywych gałęzi wyrabanych kamiennymi i brązowymi toporami. Stare, umarłe konary miały złe duchy i należało je pozostawiać na miejscu na wieczny spoczynek. Odłupane żywice z sosnowych pni paliły się jak żagwie, a iskry z gałęzi unosiły się nad lasem i oświeślały twarze licznej gawiedzi, która zasiadła przed ogniskiem.

Kobiety okryte kolorowymi chustami, z naczyniami pełnymi napitków, rozpoczęły wesoły gwar i śmiechy, które tajemniczo unosiły się po lesie.

Pod dębem siedział ksiądz Wojciech Miech z obozową starszyzną i cicho nucił pogańskie pieśni. Tradycje Kupały były świeże i trudno było księdzu nie zgadzać się ze swymi parafianami w tych bezbożnych strofach. Jednak w pieśni te włączał słowa pobożne, chrześcijańskie, a często również Bogurodzicę.

Pieśń kupalną „ptaszyno złota, pieśni żywa i ulotna bądź nam miłością i ocal nas od śmierci”, głośno śpiewali zebrani. Oczy wszystkich zwrócone były ku zachodowi słońca. Starsze kobiety trzymały płonące kaganki i różdżki na sycony miód, który w beczulce przyniesiono pod dąb. Przelano go do wielkiego rogu tura, a z niego smerda Mściwoj napełniał małe różdżki trzymane przez gawiedź. W ruch poszły też kołacze i garnki z mlekiem. Głośno klaskano, śpiewano i tańczono. Tak wesoło było do północy.

Zrobiło się zupełnie ciemno, kiedy odezwał się głos Kmeta: Kupało! Kupało! Stał obok Marysieńki, wśród czeladzi i niewiast.

Wszyscy zamilkli.

Choć dzień jest boży, Kmet popatrzył na twarze dziewcząt przy ognisku i powiedział: – Idźcie parami do lasu, tam dzieją się w dniu Kupały rzeczy dziwne i niespotykane, tam możecie odnaleźć swe szczęście. Nie bójcie się, jest przy was wielu chłopców, by was obronić. Głośny śmiech i nawoływania zachęcały do odwiedzenia lasu. Na twarzy Marysi śmiech zagościł na dobre, chwyciła pod rękę smerdę Ziemowita i pobiegła z nim w las.

Szał zabawy trwał do samego rana, księżyc z towarzystwem gwiazd przepłynął na drugą stronę lasu i powitano pierwsze promienie słońca. Dziewczęta jednak pilnowały swych chłopców. Promienie zaiskrzyły we włosach Marysi, przy dogasającym ognisku stała promienna i szczęśliwa.

Łąka i las jeszcze drgały od wesołych śpiewów i miłosnych pieszczot, kiedy zbudzone wcześniej ptactwo z nadrzecznych szuwarów, ciekawe wydarzeń, z szumem i niedowierzaniem oblatywało chiżyny i okolice, bo coś podobnego tutaj jeszcze nie widziano. W koronie dębu, pod którym ucztowano, widać było rój pszczół, które założyły barć, a w cieniu drzewa wiła się wąska drożyna zmierzająca w głąb borów, którą miano wyruszyć w dalszą drogę.

*

Kiedy ranek wstał najpiękniejszy ze wszystkich, kiedy głuche dęby dumnie stały ubarwione zielenią liści, a brzozy pachniały

potrząsając swymi warkoczami. U ich stóp, na kobiercach kwiatów połyskiwały pierwsze promienie wschodzącego słońca, wówczas to dowódca leśnej straży dał znak do wymarszu nad rzeczkę Szprotawę i dalej do Czarnej Wody. Za żalnikami rozciągały się gęste lasy i piaskowe drożyny, czasem wielkie halizny, na których licznie odnajdywano tropy kopyt turów, jeleni i łap niedźwiedzi.

Tury w Polsce występowały już w niewielkich gromadach, choć w tym roku tu było ich najwięcej, w porównaniu z poprzednimi latami. Widywano te zwierzęta o dużych rozmiarach, lekko zbudowane, o poziomym grzbiecie i krótkim ogonie. Byki miały wielkie rogi, wygięte na boki, a następnie do przodu i w górę, suknie jeżowate z włosem koloru szarobrazowego z jasną pręgą na grzbiecie. Kiedy spotkano liczne stado pasące się na poboczu doliny, wiele osób pomieszało tury z żubrami. Ze znacznej odległości wcale nie byli pewni, jakie to zwierzęta.

Tury jednak występowały w lasach koło Belmowa, ale nie brały się z żubrami, które wołały przebywać w zimniejszym północnym klimacie Polski, Litwy, Żmudzi i Prus. Tury przedkładały tereny południowej Polski, cieplejsze, gdzie zakładano im paśniki i udzielano pomocy. Chyba tylko z tego powodu przywędrowały tu z pogórza karpackiego i z ciasnych, zimnych lasów północnych. Tu znalazły godną ostoję, cieplejszy klimat, dla siebie i wychowywanego potomstwa.

Za rzeką Szprotawą dwornia spotkała duże stado turów. W panicznej ucieczce, na samym końcu, uchodził okaleczony, wielki, kulawy byk. Kmet Homan, razem ze smerdą Hanuschem, postanowili urządzić zasadzkę na chorego тура w okolicach Przemkowa.

W wyprawie myśliwskiej wzięło udział sześciu łuczników na koniach, dwóch pachołków i zgraja najlepszych psów. Jeszcze o świcie znaleźli się nad rozległymi trzęsawicami i łąkami, przy rzece Szprotawie, na szlaku licznych turzych tropów. Świeża bujna trawa znad wody smakowała im wyśmienicie, bo nawet nie sospozregły niebezpieczeństwa i zagrożenia, jakie na nie przygotowano.

Skoro świt obstawiono łąkę nad rzeką. Czterech łuczników na koniach miało zaatakować okaleczonego тура. Reszta obwołu pilnowała przesmyków z dala od nadrzecznych bagien.



Nim zdołano podejść do wody stado ruszyło pierwsze. Zdradziła ich niespokojna psia zgraja. Tylko sobie znanymi ścieżkami rwały tury przez wyżary jak szalone do najbliższego lasu. Łucznicy porwali konie i próbowali odciąć im drogę. Zwierzęta jednak jak kamień rzucony w wodę rozpląnęły się w bagiennym krajobrazie mszaru.

Na nic nie zdały się poszukiwania rannego тура, jedynie najbardziej znany pies „Piastun” odnalazł trop, ale doprowadził on myśliwych do trzech bezbronnych cielaków, ukrytych w bagnie, które musieli oszczędzić.

Kiedy niezadowoleni wracali na polanę, Piastun wypłoszył z szuwarów rannego byka. Z wielką furią rzucono się za nim. W lepkiem błocie nie było to wcale tak łatwe. Tur z niebywałą lek-

kością pokonywał wyżary i im nieznane podwodne groble, w fontannach wody i błota śmiało uchodził. Psy nie mogły pomóc, woda była zbyt głęboka. Zwierzę jednak coraz bardziej opadało z sił i zanim wyszło na przyległą łąkę, kilka strzał z łuków zawisło na jego ciemniejszym karku. Teraz jednak wściekle rzuciło się do dalszej ucieczki. Znów posypały się liczne strzały, nim znikło w lesie. Tylko oddalający się wrzask psiarni i łamane gałęzie sygnalizowały o uchodzeniu tura i jego utratę.

Po czasie wszystko umilkło i nastąpiła głęboka cisza. Hanusch nie mógł przeboleć straty, jaką ponieśli. Jeden z doświadczonych pacholków pocieszał go, mówiąc, że muszą być cierpliwi i twierdził, że zwierz ten padnie, tylko należy poczekać do wieczora i go nie płoszyć.

Rozpalono ognisko i dopiero przy miodowej nalewce odzyskano wiarę w powodzenie polowania. Uwierzyli w szczęście zdobycia tura, którego będą mogli przywlec i położyć przed kmetem Homanem oraz stopami starszyny.

Pacholek miał rację. Tura znaleziono wczesnym rankiem następnego dnia, kilka mil dalej, razem ze sforą psów, które warowały i nie powróciły do obozu. Tur już nie żył. Miał okaleczony tylny badyl, złamany przez konar drzewa, czy też w leśnej walce z wilkami. Byli szczęśliwi i zadowoleni.



NA MIESZKOWYM SZLAKU

Ta wielka wyprawa do Grodziska Strupicza w Sudeckiej Puszczy była przygotowywana przez wiele miesięcy z wielką starannością. Pograniczne plemiona uważały zachodnią puszcę za swoją, stąd chętnie w niej wykorzystywały bogate jej zasoby, tym bardziej, że rozpadło się wielkie państwo morawskie, a w Polsce na tronie zasiadł ród Piastów i panował przez wiele stuleci.

Książę Polski Mieszko I w ostatniej połowie X wieku miał olbrzymi wpływ na przejście Polan na religię chrześcijańską, która to trwale złączyła plemiona Lechickie w jeden naród. Był pierwszym z rządzących na Śląsku Książąt, którego imię aż do Bolesława Chrobrego było uroczyście czczone w wielkich pogranicznych borach zachodniej Polski.

*

Wyprawa Homana zmierzała do Borów Dolnośląskich, nad Młyńską Strugę obok Wymiarek, do Doliny Czarnej Wody. Na jej ścieżce w Buczynie Szprotawskiej rosła bujna roślinność, a wśród niej wiele starych drzew, na których od wieków istniały liczne pszczele barcie. Pod okapem prawie pięćdziesięciometrowej wysokości buków rosły jawory, lipy, wiązy górskie i graby. Spotykano kilkuwiekowe dęby, a na skraju rósł dąb szypułkowy, nazywany później „Chrobry” i uznany najstarszym w Polsce. Jedna z legend głosi, że dąb ten nazwę swą wziął od spotkania pod nim cesarza Ottona III z Bolesławem Chrobrym.

Dolinę rzek Szprotawy i Czarnej Wody porastały lasy łęgowe i olsy. Wielkie drzewa rosły też na graniczących ze sobą wy-

dmach i bagnach. Licznie mieszkali tu bieliki, bociany czarne, na wrzosowiskach cietrzewie, było dużo nietoperzy, kormoranów, czapli i żurawi. Bartnicy, szukający barci spotykali jelenie i sarny, raz nawet spotkano łosie, a wieczorami dziki. Żyły też tu kuny, lisy i bobry.

U ujścia Szprotawki do Szprotawy napotkano osadę sprzed wielu lat. Zamieszkiwała ją rolniczo-pasterska wspólnota koczująca. Bóbr był obsypany „wałami ślaskimi”, ciągnącymi się od Przemkowa do Gromadki, obronnymi umocnieniami zbudowanymi za Mieszka I. Odnaleziono też starego Jaworka, brata Michała Łopaty znad Obry, Prosny i Baryczy. Gospodarzył na krańcu gęstego boru, przy szlaku z Wrocławia. Chatę miał z drewna, ustawioną na opalonych kłódach w leśnym topielisku tuż przy rzece Bóbr.

Niedaleko stąd, wśród starych drzew i lipowej alei, Jaworek założył szereg barci, na wzór tych znad Odry. Od dawnych bartników nabył brązowe dłuta do wybijania dziupli w konarach drzew. Korzystając z własnego doświadczenia wypełniał je ściółką ze słomy i okładał plastrami miodu. Pracy przy tym miał sporo, ale wszystkie wydłubane przez niego otwory pszczoły zasiedliły i było z nich sporo korzyści. To miejsce otaczał drzewostan naturalnych, puszczańskich lasów bukowo-dębowych.

Ludzie Homana obozowisko założyli tuż na skraju puszczy, niedaleko chiżyny Jaworka. Swe szałas i loszki ustawili po południowej stronie lasu. Osłonięci od wiatru, w pobliżu wody postanowili zbierać miód tradycyjnie, aż do początku sierpnia, do święta bartników. Nad rzeką zorganizowano wiec, na którym starszyna postanowiła spotkać się z Jaworkiem, bo chciała uzyskać informacje o miejscowych pszczołach i zorganizować dla bartników pracę. Na miód i воск czekały puste obrzyny, beczki i skrzynie na wozach.

Na wiec przybyło wiele osób żądnych spotkania z miejscowym bartnikiem, z dużym doświadczeniem. Opowiadał o pszczołach, o tym, że miód żywił w puszczy dawnych ludzi nawet przed set-

kami lat. Wykorzystywano też воск, handlowano pszczołami i rękawicami do jego wybierania. Mówił, że dodatkowe barcie robiono z drewna i kory lub z sitowia i słomy, oblepiano je gliną lub obciążano turzą skórą. Miód był uznany za środek konserwujący, bo smażyono w nim mięso i wyroby do przechowania oraz na długie podróże.



Poinformował pszczelarzy, że w Zachodniej Puszczy obowiązuje prawo bartne, którego nie można przekroczyć. Wyrąbanie drzew bartnych i kradzieże miodu, wykurzanie, czy wylapanie pszczół, grozi wysokimi karami i wypędzeniem ze wsi sprawców, pastuchów i hultajów, a nawet stosowane są kary cielesne. Bartnicy mają swoje drzewa znakowane, nazywają je ciosnami, na niektórych są umieszczone nawet własne herby. Ciosna na drzewie oznacza własność i jest honorowana przez wszystkich bartników.

Pod koniec wiecu piętnastu bartników, zwolnionych od budowy chłżyn, rozpoczęło szukanie drzew do budowy komór i wolnych barci. Komory robili na starych drzewach, przed okre-

sem rójki, farbowali je, czyli mazali zanętą, w celu znalezienia pszczoł. Smarowano je wywarem z wonnych ziół z domieszką miodu i wosku. Bartnicy przepis na zanętę trzymali w ścisłej tajemnicy przed innymi pszczelarzami.

W zachodnich puszczech wosk był nieodzowny w sztuce brązowniczej. Z brązu robiono noże i szpady, a nawet topory z tego metalu. Wiele osób z plemion słowiańskich przebywało w gęstych borach, zdobywało miód od dziko osiadłych rodzin pszczelich w barciach na drzewach, zwanych „świepiotami”.

Michał mówił, że drążenie w drzewach sztucznych dziupli-barci, zwanych uliszczami, trwa tu do dziś. W dawnych latach razem z kniazem Strupiczem bartnicy znad Baryczy, Obry i Prosnego zasiedlili duży maszyn leśny nad Bobrem. Powstała tu osada handlowo-służebna pod zachodnią granicą. Ludzie ze wsi przechodzili do lasów i zostawiali bartnikami.

Przy palącym się ognisku opowieści Jaworka słuchano w skupieniu. Potem podano sycony miód i spotkanie to zamieniło się w uroczystą biesiadę, a wesołe śpiewy i tańce trwały do późnej nocy.

Przez kilka następnych dni drążono w wybranych pniach komory na pszczele barcie. Starych, grubych drzew nie brakowało. Tutaj rosły wielkie i okazałe. Wkrótce stwierdzono, że pszczoły szybko objęły na własność nowe pasieki.

W wolnym czasie urządzono kilka polowań na dziki i rogacze. Hanusch ze swym najsprawniejszym łukiem i kołczanem ze strzałami wczesnym rankiem poszedł na leśną polanę i sprawnie po cichu wdrapał się na drzewo. Z niego mógł oglądać wrzosowisko na piaszczystym wzgórzu.

Kiedy zaczęło świtać, na polanie ukazał się lis, który sznurował wzdłuż młodych drzew w stronę kryjówki myśliwego. Doszedł do wyciśniętych w piasku jego stóp i jak oszalały rzucił się w las głośno szczekając.

Hanusch zmartwił się, bo przecież mógł wystraszyć sarny czy jelenie. Jednak na gałęzi siedział dalej, bez ruchu. Kiedy zrobiło

się już jasno, po przeciwnej stronie polany na wrzosowisko przyfrunął cietrzew, widocznie kura, bo po chwili zjawił się konkurent. Gdyby był bliżej, pomyślał Hanusch, to bym strzelał, ale postanowił dalej czekać. Cietrzewi jeszcze więcej przybiegło i zaczęło się tokowisko. Czuszykanie i hałaśliwe gody trwały dość długo. Słońce weszło już na polanę i Hanusch postanowił zejść z drzewa. Nagle zauważył, zamiast ptaków, wśród wrzosów stojącego rogacza, a za nim kozę. Przyglądał się bacznie tej parze. Rogacz miał na łbie krzaczaste parostki i był wielki. Odległość była jednak znaczna, mimo to zdecydował się na ryzykowny strzał.

Wnet z głośnym świstem strzała opuściła wielkie drzewo. Kozioł podskoczył i ruszył jak szalony, wpadł w sosnowy las. Wyfrunęły z niego jakieś czarne ptaki, potem na niebie pokazał się bielik i krążył nad polaną. Z czasem wszystko ucichło i zrobiło się ciepło i przyjemnie

Na drzewie przesiedział jeszcze z godzinę, powoli zszedł na ziemię. Na miejscu gdzie stał rogacz, odkrył parę kropelek czerwonej farby. Ślad kozła jednak się urwał po dziesięciu krokach. Wydmowa górka pełna piasku, opisana była tropami jeleni i saren. Trudno było odczytać gdzie pobiegnął rogacz.

Wrócił do osady, chciał Homanowi opowiedzieć o wydarzeniu. Jego jednak nie było w osadzie. Dowiedział się, że z Ziemowitem wyjechał konno do lasu na dziki.

Wziął pachołka, kilka psów i konno pognali w las. Piastun był wrażliwym wilkiem, umiał węszyć po ziemi, nie przeszkadzały mu wysokie wrzosy. Kiedy polecono mu obwąchać miejsce strzału, z wielką uwagą ruszył tropem rogacza, wcale nie tam gdzie szukał z rana Hanusch. Pies po paru minutach zaczął szczekać, wiadomo, że znalazł zdobycz. Rogacz już nie żył, strzała przeszła mu przez szyję i nie pozwoliła biec przez las.

Wrzucono go na konia i powrócono do osady. Ciekawscy mieszkańcy obstawili obozowe klepisko i podziwiali zdobycz. Zaraz też rozpalono ognisko dla upieczenia mięsa.

Homan z parobkiem pojechali aż nad Błota Przemkowskie. O watasze dzików tam mieszkających i buszujących po trzciniowiskach nad rzeką Szprotawką opowiedział mu dokładnie Jaworek. Bagna były tu ogromne, mszary obrosnięte trzciniami ciągnęły się aż po sam horyzont.

Usadowili się na skraju wody i bagna, pozostali na noc. Wdzieli wydrę, która baraszkowała przy ich kryjówce, z dała brodzące jelenie, ale dziki nie wyszły. Następnej nocy wzięli kępę trzciny z wiatrem wiejącym w twarz. Noc była księżycowa, było zupełnie jasno, to też od nastania księżycowego światła oglądali wiele zwierząt. Bobry mieszkają w pobliżu i często się pokazywały. Myśliwi słyszeli jak wilk złowił jednego i z jego krzykiem wynosił do lasu. O północy też oglądali lochę prowadzącą warchlaki.

Znów nastała cisza. W środku nocy plusk wody zwrócił ich uwagę. Przed nimi stanął olbrzymi odyniec. Obie strzały Homana i Ziemowita, utknęły w mokrej skorupie czarnego pancerza dzika. On gwałtownie zawrócił i z pluskiem wody wpadł w błoto.

Nastała długa cisza, która trwała do świtu. Wtedy poproszono dwoje ludzi z Łęczca, wioski stojącej nad bagnami, aby koniem wyciągnęli upolowaną zdobycz. Zwierzę umieszczono na jednym koniu, a na drugim wracali obaj myśliwi.

W osadzie rozpoczęła się pyszna zabawa. 400 - funtowy odyniec zawisł nad ogniskiem i wabił mieszkańców osady warzywnym zapachem i atrakcyjną wielkością. Szable jego Haman zawiesił na szyi swego konia, by przypominały o jego wielkim wyczynie.

MIODOWE ŻNIWA

Rozpoczął się miesiąc sierpień, słoneczny i ciepły. Lasy nad Szprotawą były gościnne, obfitowały w liczną zwierzynę i drewno. Ognisko w centrum osady Homana nigdy nie gasło. Smażono na nim ryby i wędzono dziczyznę, a zapachy smacznej pieczenia rozchodziły się po wielkim lesie. Mieszkańcy byli zadowoleni, zachowywali się rozważnie, tylko kilka razy napotkano na leśnych duktach i ścieżkach obcych bartników, zbieraczy szlachetnych kamieni i poszukiwaczy przygód. Raz nawet spotkano w pełni uzbrojonych żołnierzy i mnichów, zmierzających do Lubiąża i Henrykowa.

W osadzie nad Szprotawą bartnicy przygotowywali się do wybierania miodu z barci przez siebie zbudowanych i świeżo odnalezionych w puszczech. Zbieranie patoków - miodu i woszczyzny rozpoczęto w połowie miesiąca. Z dziennego obwożenia uzyskiwano średnio z jednej barci około 8, a w dawnych starych barciach nawet od 10 do 12 litrów miodu. Na wrzosowiskach o wiele więcej, bo od 21 do ponad 50 litrów. Nowo wybudowane barcie były mniej wydajne, w większości z nich znajdowano tylko do 5 litrów miodu i wosku.

Smerda Hanusch znał dobrze Bory Dolnośląskie, bo mieszkał w nich. Opowiadał, że miodu i tysiące woskowych kamieni wywożono z nich każdego roku do Wrocławia i Kalisza. Stąd bartnictwo miało tu duże znaczenie. Wielkość produkcji jednak stale malała ze względu na ciągłe wycinanie drzew. Puszcza Sudecka dotąd zwarta, kurczyła się raptownie. Wcześniej wielkie wozy były zaprzęgane nawet przez 9 koni i kilka razy do roku pokonywały daleką trasę. W puszczy miód też produkował zakon w Krzeszowie. U Lechitów na terenach zasiedlonych, królowała forma

gospodarki bartniczo-zbierackiej. Była uczciwa, opiekował się nią Duch Gór Rzepiór, - Karkonosz, który mieszkał w Lodowych Kotłach w Górach Śnieżnych i nie pozwalał na wycinanie lasów.

Nad Morzem Śródziemnym już od wieków wytwarzano ule, budowane przez człowieka z wikliny i słomy oraz z gliny. Pasieki przewożono na barkach rzekami na wrzosowiska i inne użytki już od wielu set lat. Opowiadał mi o tym stary mnich, którego napotkałem w puszczy, mówił Hanusch.

Prawdopodobnie przez mnichów kalendarz pszczelarski w miesiącu sierpniu dopasowany był do daniny miodowej czy woskowej. Kult związany z osobą patrona cysterskiego bractwa, św. Bernarda, którego święto przypadało 20 sierpnia, był temu podporządkowany. Bractwo posiadało olbrzymie dobra leśne, a w nich dziesiątki pszczelich pasiek, z których sówicie korzystano.

W Krzeszowie jednak patronem bartników był św. Ambroży, Powszechnie znana jest legenda, że po narodzinach, w jego kołysecie osiadł rój pszczół. Przerażone piastunki usiłowały rój odpędzić, na co nie zgodził się ojciec dziecka. Miał nawet powiedzieć, – „Jeśli niemowlę żyć będzie, będzie kimś wielkim”. Wydarzenie to stało się elementem wierzeń i obrzędów pszczelarskich. Dawniej w krzeszowskim klasztorze pszczelarstwo było regułą. Istniała tam pasieka, którą prowadziły siostry zakonne. Na przyklasztornym cmentarzu znajdują się groby dawnych bartników z kuszka na krzyżu, symbolem pszczelarstwa.

Hanusch opowiadałby jeszcze dłużej o wydarzeniach w Sudeckiej Puszczy, ale z lasu powrócili bartnicy i przywieźli pełne beczki miodu i wosku.

Na zwołanym wiecu bartnicy opowiadali o swej niełatwej pracy. Miodu w barciach było jednak wyjątkowo dużo. Jego zbiory, razem z woskiem przewidywali zakończyć w trzeciej dekadzie sierpnia. Z wyprawy na ryby powrócili obaj Jaworkowie, przywieźli węgorze, liny i szczupaki. Ryby zawieszono na gałęzi przy-



W osadzie nad Szprotawą bartnicy przygotowywali się do wybierania miodu z barci.

nieśli nad ognisko Maciej i Jerzy, synowie Jaworka. Ich ojciec opowiedział Homanowi o niebezpiecznym spotkaniu z łosiami. Przebywały one na grzędawisku, w gęstych sitowiacz. Kmet był tym spotkaniem mile zaskoczony. Starszyzna na wiecu podjęła szybką decyzję upolowania wielkiego byka.

Mięso z łosia miało dawniej niepoślednie znaczenie. Dziczyzna była doskonała- smaczna i pożywna, wymagała jednak specjalnych przypraw. Chrapy łosia były osobliwym przysmakiem, kości ze szpikiem dodawano do grzanek. Ze skóry wyrabiano zamsz używany do wyrobów galanterii nieprzemakalnej i nie przepuszczającej wiatru. Była też używana na kamizelki i spodnie niezniszczalne. Skóry też używano w całości, jako higieniczne podściółki do łóżek pod prześcieradła. Dzięki swej przewiewności chroniła ciało od odparzeń. Skóry z goleni służyły do obijania kufów i do szycia toreb. Ściągano używano zamiast nici, łój razem z suszonymi kwiatami dawał piękne pachnące świece i służył do wyrobu gojących maści.

Rosochy oprawiano, zawieszano na tarczach i stanowiły piękne dekoracje przy ozdabianiu domostw. Z rosoch też wyrabiano oprawy do noży, sproszkowane razem z racicami odgrywały niegdyś ważną rolę w leczeniu piersi, służyły też do wyrobu stolików, krzeseł i wieszadeł. Zatem była wielka chęć zdobycia łosia.

Bartnicy mieli pracę. Jeszcze przez kilka dni będą zbierać miód, a my możemy w tym czasie zorganizować wyprawę na łosia, może się uda, stwierdził Homan.

Obozowisko w Przemkowie przyniosło im sporo korzyści i zadowolenia. Do Grodziska Strupicza mieli już trafić z napełnionymi po brzegi wozami leśnych dóbr. W loszkach przechowywali uwędzone mięso z tura i dzików. Teraz nadarzyła się okazja na dopełnienie wozów jeszcze zdobytym łosiem.

Tego samego wieczoru czternastu łuczników konno opuściło osadę i pojechało okrężną drogą na północne brzegi Szprotawki. Homan wraz Jaworkiem, wyposażeni w łuki i włócznie, postano-

wili wypłynąć rzeką następnego dnia, wcześniej rano. Pięciu naganiaczy z psami oraz ze świeżymi gałęziami dla zadymienia bagna wcześniej z rana stanęło przy Przemkowskim topielisku.

Homan z Ziemowitem, w porannych oparach rzeki i dymach z gałęzi, wsiedli do dłubanki Jaworka i w Lesie Komarowskim płynęli z prądem rzeki aż do jej ujścia. Szprotawka była usłana gęstymi mgłami, które powoli przesuwały się znad moczaru w ich kierunku.

Homan znał wiele sposobów chwytania łosi. Na Baryczy łowiono je na sidła i w zamaskowane doły. Pędzone przez liczną czertę wpadały do ukrytych pułapek. Chłodzące się w wodzie łosie, naganka powinna wypędzić na obrzeże rzeki, obstawione przez łuczników. Homan w dłubance miał szanse bezszelestnie podpłynąć na odległość skutecznego strzału.



Wpływając w bagienny szuwar usłyszał stękanie i rzenie starego byka. Szybko, na zwiniętej z kory brzozonej tubie, zwabił go naśladując głos rywala. Byk odpowiedział. Powtórzyło się to kilka razy, aż byk wyskoczył z wysokich trzcin. Był to jednak

młody, trzyletni osobnik. Po chwili nagle zniknął, robiąc sporo wrzawy i rozpryskując wokół siebie fontanny wody.

Następne uo-ua z tuby Homana było już ciche. Jednak po-drażniony wielki byk bez opamiętania wyskoczył z trzcin i prawie stanął naprzeciw myśliwych. Strzały posypały się gęsto w jego kierunku. Skoczył wysoko, doskoczyły też konie z łucznikami czatującymi w pobliżu. Ostre lance wbiły się głęboko w tuszę zwierza i drogę ucieczki odcięły.

Złota jutrzeńka przy świtającym poranku cieszyła łuczników, mieli wielkie szczęście i byli zadowoleni. Zdobyto wielkiego, wspaniałego łosia. Był potężnie zbudowany, z przodu wysoki prawie na 2 metry i tyleż długi, o szpiczastych łyżkach (uszach). Chrapy (nozdrza) aksamitnej delikatności, nadawały mu osobliwego wyglądu. Na szyi miał narośl półmetrową nazywaną brodą.

Łosie pływają znakomicie. W badyłach posiadają niepomierną siłę. Są one potężnym orężem, którymi chwytają wroga pod siebie i wyrzucają daleko ku przodowi. Mimo swej wielkości i ciężaru, przesuwają się ostrożnie przez największą gęstwinę tak cicho, że najsprawniejsze ucho nie usłyszy najlżejszego szumu. Wygląda to niesamowicie, gdy olbrzymi zwierz zjawia się nagle, niespodziewanie, niby potężny duch lasu i równie nagle bez szelestu znika, jakby się zapadł pod ziemię.

Ten byk był wielki, miał chyba z 15 lat. Jego rosochy nie wykazywały już długich odnóg, a łopaty po brzegach miały wyszczerbione pasynka. Były wielkie, ponad metr długości i 40 cm szerokości, na pewno ważyły ponad 40 funtów.

Ten sędziwy łos dał w ofierze swe kości Homanowi i na pewno jego rosochy zawisną nad Bobrem w Grodzisku Strupicza, przewidywał Kmet, ciesząc się serdecznie.



Homan znał wiele sposobów chwytania łośi. Na Baryczy łowiono je na sidła i w zamaskowane doły. Pędzone przez liczną czertę, wpadały do ukrytych pułapek.



Wpływając w bagienny szuwar usłyszał stękanie i rżenie starego byka.



Mimo swej wielkości i ciężaru, łoś przesuwa się ostrożnie przez największą gęstwinę i tak cicho, że najsprawniejsze ucho nie usłyszy najbliższego szumu.

NAPAD WILKÓW

W rzesień tego roku był wyjątkowo słoneczny i ciepły, choć rankami temperatura spadała blisko zera. Wędrowano już drugi dzień w kierunku Gór Olbrzymich i Puszczy Sudeckiej. Kmet ciągle myślał o Duchu Gór, Rzepiórze, o którym tyle naopowiadał Hanusch. Czy to mogło być prawdą, że za Bobrem istnieje taka wielka i niedostępna puszcza. Pilnuje jej potężny Duch Gór, który każdego roku podtapia całe połacie lasów, i mieszka w niedostępnych Lodowych Kotłach. Barwne opowiadania smerdy uważał, że były ciekawe i zaskakujące, ale czy mogły być prawdziwe, stąd cieszył się z wyprawy w te góry, że będzie mógł to sprawdzić. Wędrowali dolinami rzek i przybrzeżnymi lasami, konie z wielkim wysiłkiem pokonywały coraz bardziej strome górskie wzniesienia.

Nową osadę rozbili nad Kaczawą, na polanie, którą nazwali Nową Ziemią, naprzeciw Wilczej Góry, we wschodniej części pogórza Czulki. Przy ich obozowisku stała stara chata, pokryta skórami z żubra i jeleni. Zamieszkiwał ją brodaty włóczęga Ści-bor, który pamiętał jeszcze czasy mieszkowych wojów. Pełno było obok natropień łosi, jeleni, ale też saren, dzików i co najgorsze swe pazury pozostawiła wataha zgłodniałych wilków. Starzec opowiadał o kilku chiżynach nazwanych Sępów, stojących prawie nad strumieniem Drążnicy. Za rzeczką były „wilcza” i „niedźwie-dzia” jama, wykuta pod wysoką górą, zwaną Wilkołakiem. Stamtąd niemal każdej nocy wilki napadały na ludzi i na zwierzy-nę. Ści-bor opowiadał im o bogatych wyrobiskach złota za rzeką Śnie-żyńką i miedzianych kamieniach, które przywabiwały włóczęgów.

Z góry Rosochy mogli podziwiać wspaniałe okolice pokryte lasami, kręte strumyki i jaskinie zamieszkałe przez dziką zwierzy-nę.

Sytuacja mieszkańców nowego obozowiska wydawała się nie do pozazdroszczenia. Od początku należało przed nią ustawić za-

sieki i pilnować konie, ale zabezpieczenie ludzi było najważniejszym zadaniem, jakie ich czekało.

Ścibor mieszkał razem z psem, zwanym „Twardy”. Znalazł go trzy lata temu w czasie burzy, jako młodego wilczego szczeniaka nad rzeką, przy Czerwonym Kamieniu.

Pod wieczór wokół osady zapłonęły trzy ogniska i przez całą noc przy nich gwarzono. Wśród nich był też Ścibor, przyprowadził ze sobą Twardego. Grał na gęślikach i częstował tegorocznym pitnym miodem. Wilk był bardzo groźny, ale i posłuszny, zamieszkiwał razem ze swym panem. Był wierny i opiekuńczy. Ubiegłej jesieni mówił starzec, niedźwiedź podszedł pod jego chatę, wyrwał drzwi zamknięte na świerzopę - klucz. Zabrał świeżo upieczone z kukurydzy korowaje i kołacz. Porozwalał krzyny i opony, zasłaniające prycze i potłukł statki.

Kiedy Ścibor wrócił z lasu był załamany wielkością zniszczeń, jakie zastał, opowiadał przy ognisku. Jednak niedźwiedź zasmakował kołacza i powrócił w nocy ponownie. Wówczas Twardy z wielką furią i nienawiścią, rzucił się na niego i pogryzł go dotkliwie zanim awanturnik odszedł.

Wilk teraz, za ten wyczyn w mej obronie, śpi na pryczy, razem ze mną i otrzymuje jedzenie takie same, jak ja jem i odtąd stał się moim wielkim przyjacielem.

Następnej nocy wilki upolowały podjazdka – młodego konika z obozowego stada i uśmierciły. Nie zdążyły jednak go zabrać do lasu. Na radzie starszyzna zdecydowała o polowaniu na tę złodziejską watahę. Po tropach nad rzeką ustalono, że wokół osady zamieszkiwało kilka watah. Ostoje wilków były w szczelinach spękanych skał, usłanych mchem, a często w norach lisów i borsuków. Ubitego podjazdka podciągnie konno na przynętę któryś z pachołków, ustalono na wiecu. Zasiadka przy wyłożonej padlinie miała szanse powodzenia. Młody witeź jadąc na koniu, aby nie zostawić śladów swych stóp, przyciągnął za sobą nad wiszary, wskazane miejsce przez Hanuscha, końską padlinę.



Następnej nocy wilki jednak upolowały podjazdka – konika z obozowego stada.

Tej nocy obaj łucznicy zasiedli na starych gałęziach. Noc była księżycowa, podwieszono ich na koniach, nie schodząc na ziemię wskoczyli z nich na konary obu drzew, by nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń, koniarze odjechali.

Hanusch wiedział, że skóry wilków nazywane wilczurami, były najcieplejsze ze wszystkich innych, a używano ich na szycie ciepłych futer. Białe kły używali złotnicy znad Śnieżynki, oprawiali w żółte złocenia i handlowali z wenedyjskimi kupcami. Gdyby tylko im się powiodło, to spotkają ich łaski Strupicza, przewidywał jego wierny sługa.

O północy łucznicy usłyszeli delikatne wycia. Wiedzieli, że wilki są bezkonkurencyjnymi mistrzami w ukrywaniu swej obecności. W ślepych polu, najczęściej jesienią, wadera lub basior udając się na polowanie dla zdobycia żeru, żegna swe szczenięta wyciem, młodzież skomląc odpowiada w ten sam sposób.

Skomlenie teraz powtarzało się kilkakrotnie. Nagle zauważono, że pod wiatr, w kierunku padliny szły dwa duże szare wilki, łupur i wadera. Ich lampy bacznie obserwowały teren wokoło. Zapach końskiej padliny był jednak ponętny, wietrzniki podnosiły coraz wyżej łapiąc woń. Naraz ten większy podniósł swą wiechę, wydawało się, że odkrył zasadzkę, ale ten drugi jak błyskawica rzucił się na pożarcie zdobyczy. Dосkoczył do niego też basior. Pożerali obaj przynętę jak szalone i bez opamiętania.

Świsnęła strzała, potem druga, obie trafiły basiora. Wilczyca odskoczyła, jakby czekając na swego druha. W tym miejscu pozostała ugodzona strzałą łuczника. Po chwili wszystko ucichło, tylko sowa bezszelestnie przyleciała i siadła na gałęzi, obserwując, co się wydarzyło. Obaj myśliwi byli szczęśliwi, ale najmniejszy ich ruch spowodowałby odkrycie zasadzki. Czekali w bezruchu na dalszy ciąg wydarzeń tej nocy.

Księżyc okrążył już wysokie sosny, kiedy usłyszeli ponowne skomlenia. Pod lasem do padliny podchodziły wilcze szczeniaki. Obwąchały wilczycę, położyły się obok niej i nastała znów cisza.

Myśliwym zrobiło się smutno. Naraz jak szalone podskoczyły młode wilczki i pognały w las.

Robiło się już szaro i mglisto, księżyc schował się za koronami drzew. Wówczas do padliny przysnurowała wilcza duża zgraja. Hałasowała głośno, trudno było odróżnić sylwetki. Parę strzał poleciało w ich kierunku. Potem wszystko ucichło. Rankiem odnaleziono w sumie tylko trzy wilki.



Postanowiono z nich ściągnąć kozuchy, jednak ze względu na odór, jaki wydalały, przycięgnięto je nad rzekę poza zagrodę. Potem przez kilka dni była niepogoda, padały rzęsiste deszcze. Nocami przy coraz głośniejszym ujadaniu psiarni pod osadę podchodził niedźwiedź, który próbował wejść do jednej z loszek z zapasami.

Wysłano Hanuscha i dwóch gońców, aby sprawdzili szlak prowadzący na zachód, wzdłuż Wysoczyzny Ostrzyckiej, aż nad

rzekę Bóbr. Smerda znał dobrze to przejście, wielokrotnie je przemierzał. Początek października był znów słoneczny, mimo porannych przymrozków, które bieleły północne stoki Gór Kaczawskich.

Wyruszo no powoli leśną równiną, po zalesionych wzniesieniach, między kopulastymi szczytami i wśród niezbyt urodzajnych gleb, w klimacie przypominającym oceaniczny, w borach mieszanych i wilgotnych.

Masyw leśny po północnej stronie Gór Olbrzymich, bronił Śląska za pierwszych Piastów, był też chroniony z woli książęcej. Napoty kano tu chmary jeleni, widywano tury, mieszkało dużo ptactwa: żurawie, czarne bociany, były głuszce i cietrzewie. Wielki orzeł przelatywał nad nimi, dodawał im sił i zachęcał do dalszej drogi. Każdego dnia widywano go coraz dalej od osady znad Nowej Ziemi.

Homan planował przed wielkimi śniegami znaleźć się nad Bobrem w Grodzisku Strupicza. Droga jednak była jeszcze daleka i trudna, ludzie potrzebowali odpoczynku, choć byli odporni i odważni. Mimo wszystko wierzył w sukces.



GNIAZDO NAD BOBREM

Trzy czwarte tego szlaku mieli już za sobą. Do Nielestna pod Wleniem było jeszcze sporo drogi. Coraz krótsze dni i zmęczenie nie pozwalało tak sprawnie wędrować jak wiosną. Hanusch miał w starej osadzie nad Bobrem wielu przyjaciół. Mieszkali tam Nieczujowie, Toporowie jak również cała rodzina Jastrzębców, których najstarszy syn służył w Grodzisku Strupicza.

W dawnych czasach dziadek Nieczuja był członkiem drużyny skalnej warowni na Chojnastym. Pamiętała ona czasy pogaństwa. Władysław Herman miał w niej swoje myśliwskie dworzyszczce, które Bolko Świdnicki przekształcił w warowny kasztel. Stanowił on ogniwo najbardziej wysunięte na zachód w łańcuchu zamków, którymi książę umacniał granice od Bobru aż po Nyse.

Homan wspólnie z Hanuschem postanowili po biwaku nad potokiem Lipki – dopływem Bobru, obozować przez kilka następnych dni u przyjaciół Hanuscha w Nielestnie. W nocy o spaniu nie mogło być mowy, głośnie ujadanie sfory psów nie pozwoliło zasnąć. Rankiem odkryto, że do osady skradały się dwa duże niedźwiedzie. Miały one swe barłogi w skałach na prawie 500-metrowej górze za Bobrem zwanej Gniazdo. Często je widywano jak przechodziły przez rzekę. Zagryzły chłopom dwa koniki, a po nocy odwiedzały chaty nad rzeką szukając pożywienia.

Niedźwiedzie w Sudetach występowały powszechnie, tak jak niegdyś w całej Polsce i na Litwie. Te żyjące w Górach Olbrzymich nazywano bartnikami, a to dzięki skłonności do miodu wybieranego przez nie, razem z plastrami od leśnych pszczół.

Na swą ostoję wybrały misie zaciszne, mało dostępne miejsce, górskie i skaliste. Swoje barłogi założyły w największej gęstwi-

nie, na wysokiej górze, gdzie miał swe gniazdo orzeł. Do nich wracały każdego ranka, jak długo czuły się w nich bezpiecznie. Teraz jeszcze intensywniej żerowały, były sadliste, by zapasy żeru starczyły na całą zimę.

Jak opowiadał Hanusch, niedźwiedzie miały gawry obok spróchniałych drzew w grotach skalnych. Wyścielone były obficie mchem i ściółką, by mieć wygodne legowiska. Na górze było ich kilka, ale zajęte były tylko te najwygodniejsze, blisko głębokich dziur po wywrotach drzew. Tak by leżąc, z wysokiej skarpy mogły zobaczyć czy zwęszyć podchodzącego człowieka.

Niedźwiedzie kładły się do snu po pierwszych opadach śniegu. Teraz w cieplejsze dni chętnie urządzały wyprawy dla zaspokojenia głodu. Potem już gawry były zaopatrzone tylko w jeden mały otwór i nie wychodziły z nich do końca lutego. Następnej nocy niedźwiedzie do leśnej osady znów powróciły, ubiły psa i rozwaliły loszki stojące pomiędzy drzewami.

Homan był cięty na zachowanie niedźwiedzi. Postanowił przed ich zimowym snem zdobyć tego dużego rozbójnika. Był to niedźwiedź mięsożerny, bo zagryzał koniki, psy i zwierzęta domowe oraz leśne, ale był też ostrożny i przewidujący. Zauważono, że ten mniejszy najbardziej lubił płody rolne, korzonki, zioła, trawy, a nawet owady, ale zjadał również mrówki.

Rankiem zauważono obu rabusiów siedzących na wysokim drzewie. Obserwowały to, co się działo w leśnej osadzie. To już przebrało miarkę, starszyzna podjęła decyzję o upolowaniu dużego niedźwiedzia.

Wokół obozu zauważono wiele drzew porysowanych pazurami, a tu i ówdzie na konarach zwisające kudły. Zaobserwowano, że ten mniejszy bardzo chętnie zjadał bukiw w pobliskim lesie, zgarniał łapami ściółkę z liśćmi na jedno miejsce i dmuchając usuwał zeschniętą. Potem pożerał tę smaczną strawę, miażdżąc ją, aż po bokach jego paszczy wyciekał biały, pienisty krem.

Stary niedźwiedź raz zasmakowawszy krwistej stawy, ponawiał wypadu z niesamowitą odwagą. Myśliwi chcieli skorzystać z jego apetytu oraz łownych zapędów, urządzili na niego zasadzkę. Kierując się własnym sprytem, korzystnym wiatrem, aby nie zostać odkrytym, przewieźli pod las bukowy ubitego przez niedźwiedzia psa.



Pod okapem drzew dwie noce na niego czatowano. On jednak się nie pojawił. Pełnia księżyca dopiero nadchodziła, będzie wystarczające oświetlenie nęciska, mówił Hanusch. Niedźwiedzie wychodzą najczęściej w czasie mgły i ciemnych nocy, ale i dla odmiany napadają nawet w zupełnie jasny dzień.

Nie poruszając gałęzi, myśliwi zasiedli w rozwidlonych koronach starego drzewa. Był to według nich najodpowiedniejszy system zdobycia misia, zwany od dawna „potoką”. Niedźwiedź najczęściej wraca do padliny po kilku lub kilkunastu dniach, choć często i tego samego, po to, aby przewlec i ukryć w innym miejscu swą zdobycz.

Na skraju bukowego lasu rosły orzechy laskowe, jagody i poziomki. Te owoce stanowiły przysmak dla niedźwiedzi, stąd zasiadka była dobrze wybrana, myślał Hanusch.

Niedźwiedź zjawił się niespodziewanie, bez najmniejszego szelestu, wyrósł przy padlinie jak spod ziemi. Był ogromny, w blasku księżyca wydawał się niespokojny. Odległość do niego była znaczna. Pierwszy strzał ugodził go w bark. Rażony podskoczył i nim druga strzała miała świsnąć, już go nie było.

Ziemowit też czuwał po północy z psami, przebywał w obozowisku dla niesienia pomocy swym przyjaciółom. Myśliwi zeszli z drzewa i powrócili do Ziemowita. Po krótkiej naradzie wczesnym rankiem, ze zgrają psów, dobrnęli do padliny, a stamtąd psy pognały w las. Czekali chwilę, kiedy głośno zaczęły ujadać. Potem hałas zaczął się przenosić w stronę brzegu rzeki.

Na koniach odcięli niedźwiedziowi drogę. Z głośnym wrzaskiem, ujadaniem i skowytem pokaleczonych psów, Hanusch dobił wolno uchodzącego niedźwiedzia. Strzał był celny, w komorę i zwierz runął wprost przed jego stopami. Hanusch wszystkim opowiadał, że gdyby nie psy, nie byłoby możliwości dojścia niedźwiedzia z Gniazda.

Sześciu okaleczonym i poturbowanym psom musiano udzielić pomocy, poszyć rany i posmarować balsamem. Dwa zginęły w potyczce z rozwścieczonym niedźwiedziem. W wysokich górach żyło dużo niedźwiedzi, stąd Hanusch obiecywał jeszcze nie jedno z nimi spotkanie?



U RYBAKÓW Z NIELESTNA

Nad Bobrem żył stary, dobry Odrowąż. Był rybakiem, przejął żaki i drgawice po swym ojcu. Wówczas na obszer-nych rozlewiskach i dołach Bobru żyły karpie, szczupaki, sieje, pstrągi i okonie. Obok jego chłizyny, Homan rozłożył się obozem dla wypoczynku i nabrania sił przed dalszą drogą. Tego roku była piękna jesień. Na osłoniętej lasem polanie słońce jeszcze dogrzewało i można było odpocząć. Jednak znad wody już każdego ranka snuły się fale zimnych mgieł, zapowiadając nadejście chłódów. Wędrowcy musieli się przygotować do dalszej drogi, w ostatnią podróż do Grodziska Strupicza.

Odrowąż skupiał na sobie uwagę całej osady. Teraz miał nowych gości, to też o rybach i wodzie, z którymi żył każdego dnia, trudno było mu się rozstać i nie opowiadać.

W najbliższej okolicy znajdują się tylko dwie rzeki, mówił spokojnym głosem, wartko płynący Bóbr z dopływami i z gór płynąca rzeka Kamienna, która wypływa spod czeskiej granicy w wysokich górach, powyżej dzisiejszej huty szkła. Jej źródła łączą się w bagnistych lasach i łąkach oraz powstają z Kamieńczyka i wody rzeki Kamiennej. Woda z początku w niej jest koloru czerwonego, później przyjmuje kolor brunatny. Na niej jest wielki wodospad. Potem zabiera wody Szklarki, dużego strumienia, też z pięknym wodospadem i kilka drobniejszych strumyków. Pod Ciepłowodami łączy się z wodami Podgórznej, dalej z Pijawnikiem pod Grodziskiem Krzywoustego.

Mówię to, dlatego, żebyście zdali sobie sprawę z tego jakie ryby w tej wodzie mogą żyć. Ma też ona zadziwiające cechy, a mianowicie, że mimo nieprzerwanego dopływu wody z niewy-

sychających strumieni, czasem w pobliżu Jeleniej Góry zamiera i przestaje płynąć. Dotąd nigdy, nikt nie umiał udowodnić, co jest tego przyczyną.

A powodem nie jest wcale brak wody, a raczej jej szybki odpływ. Już w Pilchowicach wody jej zanikają, pomiędzy głazami. Dalej płyną korytem o piaszczystym dnie w całej jej szerokości.

Wróżka ze Strzyżowca opowiadała, że rzeka wpada do olbrzymiej jaskini w Kunowie, na przedmieściach miasta, z podziemnym wodospadem. Zanika na dwie do czterech godzin w ciągu kilku dni. U ludzi mieszkających w pobliżu, zjawisko to pozostaje wielką tajemnicą, a ryby łowione w pobliżu bywają ślepe i bez łusek, jasnożółte, istne albinosy.

Bóbr natomiast wypływa za Kamienną Górą w krzakach na czeskiej granicy i dociera do nas płynąc obok Grodziska Strupicza. Lekko mulistą ma wodę, która tak dobrze nie służy rybom, czy też do bielenia płótna jak wody Kamiennej.

Kiedy poziom wody tych rzek wzrasta gwałtownie, po odwilży czy obfitych ulewach, ich dorzecza w wysokich górach szybko wypełniają się ponad stan. Gdyby niosły wody równocześnie, zatopiłyby wszystkie osady nad rzeką. Jednak Bóbr ma dłuższą drogę do przebycia. Jego wody docierają i łączą się z rzeką Kamienną po sześciu, ośmiu godzinach, nie powodują więc gwałtownego wzrostu wody.

Wielka powódź była wiosną tego roku, mówił stary Odroważ. Zalała łąki wokół Strupic, ziemie od Grabarów aż po Dąbrowicę, Łomnicę i Zamkową Górę. Nielestno było zalane, wody sięgały aż po Pilchowice i Strzyżowiec. W dołach wiklinowe pułapki były pełne ryb. Wówczas to w mój żak wpadł ów wielki karp. Był dużą atrakcją i przyniósł mi sławę wśród sąsiadów. Dotąd takiej ryby nikt tu nie chwycił. Karp był wielki i ślepy, o różowych płetwach, bez łusek, miał chyba z ponad dwadzieścia funtów wagi. Była to wielka ryba, porozrywała pułapki i kosze,



Wielka powódź była wiosną tego roku, mówił stary Odrowąż. Zalała łąki wokół Strupic, ziemie od Grabarów aż po Dąbrowicę, Łomnicę i Zamkową Górę. Nielestno było zalane, wody sięgały aż po Pilchowice i Strzyżowiec.

a pokusiła się na dżdżownice wciśnięte w glinianą kulę. Walczyłem z nią długo, aby wydobyć z wody. Stary rybak był niebywałym mistrzem w połowach ryb.

Odrowąż wzbudził uznanie swego wyczynu u obozowej gawiedzi. Uzyskał pochwałę za dzielność i spryt. Twierdził, że w Odrze przed laty łowiono karpie po 60 funtów i nazywano je „tuczonymi wieprzami”, stąd ten karp musiał być uwięziony długie lata pod ziemią, w skalnej zapadlinie. Stracił łuski i oślepl, był albinosem jak ryby z jaskini w Kunowie, przed nowym miastem.

*

Nad rozlewiskiem górskim w Pilchowicach, z dala od Odry i Łaby, stał chram Tryglowa, bóstwa podobnego do Światowida. Ciągnęli do niego ludzie o różnej mowie. Modlili się o bogate połowy ryb i obronę przed wilkami oraz wspólnym wrogiem. Wisiały na nim dary w postaci skór, składali je pielgrzymi. Chram stał na grubych słupach pomalowanych na czerwono, przymocowane były do niego lniane suknie i opony.

Bobrzanie znad jeziora pilnowali w nim wiecznego ognia, który tu czcili z wielką świętością. Obok stały nędzne, okopcone i podgniłe chaty rybaków, u których Homan wraz z Odrowążem, wytargowali beczułkę pstrągów. Ryb takich jeszcze wcześniej Homan nie widział, ale doradzono im ich uwęczenie nad ogniskiem.

Rybacy pstrągi łowili w Bobrowicach w Borowym Jarze przy żeremiach bobrów. W górskim jeziorze żyły wielkie szczupaki, które można było oglądać ze skał. Złović je było jednak trudno. Żyły też tu okonie i płocie. Odrowąż twierdził, że dawniej stała tu bogata wieś, ale zalała ją powódź. Wielkie wody płynące z Gór Olbrzymich zniszczyły cały dobytek miejscowych rybaków.

Książd Miech, po powrocie znad górskiego jeziora, był oszołomiony tym, co tam widział, postanowił zerwać z tymi pogańskimi obrzędami i odprawił modły w nowej chrześcijańskiej wierze, aby nie wspomniano starych zwyczajów. Śpiewano dawne pieśni nabożne oraz modlono się długo. Pod górą pobudowano

krzyż z drzewa brzoźowego, na pamiątkę ich pobytu i wiary na drodze do Grodziska Strupicza.

Każdego dnia spotykało ich coś nowego - czyste strumienie i rzeka, piękne, okryte lasami góry, w dali ośnieżone szczyty skalnych grani. Tak uroczej krainy wcześniej jeszcze nie oglądali.

Mnich, którego tu spotkali, przybył z Norwegii. Opowiadał, że Kotlina Jeleniogórska przypomina północne okolice tamtego kraju. Mówił, że wszystkie wody z całej okolicy zbiegają się przy nowym mieście. Cała dolina otoczona jest z trzech stron łańcuchem gór, a na ścianie czwartej są Góry Olbrzymie, wysokie i skaliste. Wewnątrz kotliny są jeszcze pojedyncze wzniesienia, dzielące ją na mniejsze części. Z wysokich gór widać jest różnice w porach roku. Wiosna zabarwia lasy na czystą zieleń, a jesienią pokrywają się tęczą złocistych kolorów. Później okrywają się białą szatą. W promieniach słońca długo lśnią Lodowe Granie, a po zachodzie w tajemniczych promieniach różu najwyższy szczyt, łeb Gór Olbrzymich. Potem granatowe niebo i błyszczące gwiazdki okrywają dolinę całkowicie, kiedy góry idą spać.

Wiosną i jesienią po ciemnym niebie żeglują tysiące dzikich gęsi i innych ptaków. Przelatując przez grań na Szrenicy lecą na tereny lęgowe lub wracają do ciepłych krajów. Ci, co kochają przyrodę, mówił zakonnik, znajdą tu wszystko, co tylko zapragną.

W górach tych żyje Duch Gór „Rzepiór” - Karkonosz, mieszka on w Lodowych Kotłach. Z wysokiej grani spływa razem z huraganami i nawałnicami deszczu w doliny, zatapia po drodze, co tylko napotyka. Dostępu do niego nie ma, pilnują go niedźwiedzie, których gawry są w szczelinach skalnych. Podobnego zakątka ziemi nigdzie indziej nie spotkacie.

Przy obozowisku, wśród gęstwiny, była łączka. Gromadka ludzi siedziała gęsto naprzeciw nowego krzyża. Panował spokój i uroczysty nastrój. Spożywali to, co każdy z nich miał ze sobą. Oprócz współtowarzyszy Homana byli też tu ludzie o nowych twarzach, odziani odmiennie i z różnych krajów: Połabiańscy Serbowie, Łuży-

czanie znad Odry, Polanie, Dziadoszanie i Czesi. Mimo różnej mowy wszystkim droga była ta kraina. Uzbrojenie mieli też różne, Bobrzanie i Dziadoszanie broń kupili od handlarzy znad morza. Wojownicy bliżsi Niemców, mieli zapożyczone łuki i oszczepy. Te dalsze plemiona były bardziej dzikie i uboższe w broń.

Na polanie stały dwa ogromne kamienie, jakie ziemia zrodziła. Obok nich na ognisku wędzono przyniesione ryby. Oba kamienie dodawały wszystkim odwagi i opieki, bo za nimi stała leśna gęstwina, która pozwalała na szybkie ukrycie się w lesie.

Przy dużym kamieniu siedziały kobiety, włosy miały rozpuszczone. Przed nimi stały garnki pełne wody, które teraz ksiądz Wojciech miał poświęcić, tak jak dawniej robiono to w chrampie przy górskim jeziorze. Mnich przyszedł, zaczerpnął wody źródlanej i pokropił wiernych przed ogniskiem, mówiąc – witajcie wodę świętą, dalej życzył pomyślności i zdrowia zebranym w dalszej wędrówce.

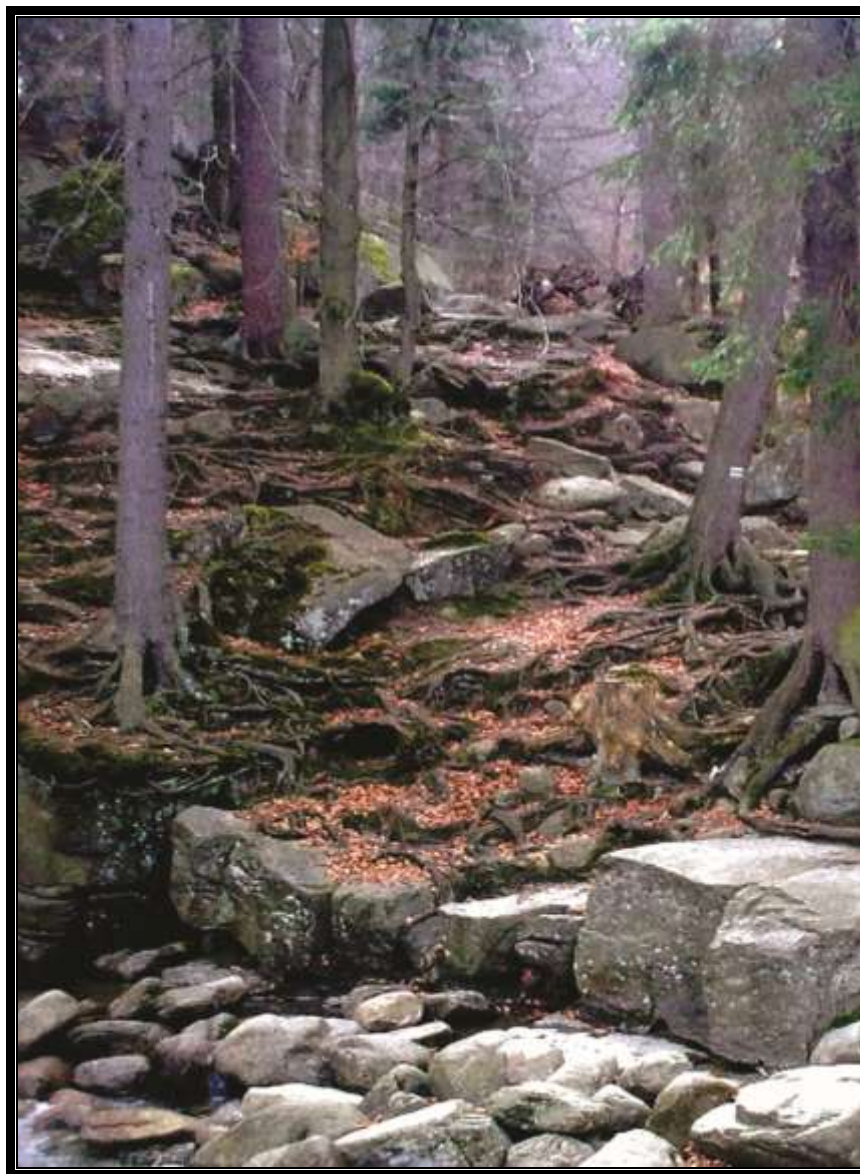
Stali przed krzyżem, zegnali się i prosili nowego Boga o pomoc i szczęśliwą drogę do Grodziska Strupicza. Miała ona wieść przez wysokie góry i głęboką dolinę, w której mieszkali rozbójnicy w niedostępnej warowni.

Czynili oni wiele szkody, mówił Hanusch, odbierali ludziom skóry suszące się w kołach i niekiedy cały dobytek. Ale Hanusz wysłał już wędrówce Mściława przez góry do grodziska, by powiadomił Strupicza o przybyciu Dziadoszan do Nielestna.





Homan był cięty na zachowanie niedźwiedzi. Postanowił przed ich zimowym snem zdobyć tego dużego rozbójnika. Był to niedźwiedź mięsożerny, bo zagryzał koniki, psy i zwierzęta domowe.



PUSZCZA PRZESIECKA



Fot: Zofia Wąsik

W OKOLICY WODOSPADU PODGÓRNEJ



Jelenie od zawsze licznie występowały w puszczy u podnóża Gór Olbrzymich (Karkonoszy). Od wieków do dziś są perelką naszych gór. Od nich swą nazwę i herb przyjęło nasze miasto Jelenia Góra.



W GRODZISKU STRUPICZA

Puszcza Sudecka, hojnie obdarowana przez naturę w bogactwa mineralne i leśne, ze względu na swą niedostępność najpóźniej stała się miejscem ludzkich zainteresowań.

Stare góry i niezbyt żyzne gleby zbudowane z kwaśnych skał, pokryte mieszanymi gęstymi, lasami, o klimacie bardziej oceanicznym, powodowały, że człowiek niezbyt chętnie te tereny odwiedzał. Nie było wielkiego pożytku z upraw rolnych na ziemi wydartej puszczy. Wskutek długich zim, ziemie szybko jałowiały, były kiepskie plony, a drogi trudne i skaliste.

Jednak na skraju puszczy nad Bobrem gospodarowali od zamierzchłych czasów ludzie. Przybyli tu śmiałkowie, którzy budowali grodziska oraz osady i żyli nawet dostatnio.

Głęboko w puszcę sięgała królewska warownia Chojnasty z czasów pogańskich. Władysław Herman miał na niej swoje myśliwskie dworzyszcze, które Bolko I przekształcił w warowny kasztel. Najwcześniej jednak nad Bobrem stanęło Grodzisko Strupicza, obok powstała też osada o tej samej nazwie.

We wczesnym średniowieczu, za czasów wojowniczego Bolesława Krzywoustego, w czasie nieustannych wojen z Czechami, powstawało najwięcej grodzisk i osad ludzkich: w Rogoźnej, Janowicach, Wojciechowicach, Rybnicy, Grunowie, Strupicach, Pilchowicach, Nielestnie i Jeleniej Górze. Stały warowne grody w Świnach, na górze Chojnasty, w Bolczowie, Gryfowie, Starej Kamienicy, tak jak na całym pograniczu Śląska.

Ludzie Homana do grodziska jechali wyboistą drogą, wzdłuż północnych brzegów Bobru, nad jego rozlewiskiem i aż do przeprawy przez rzekę w Bobrowicach. Mimo propozycji uzbrojonej obsługi zwodzonego mostu, na przeprawę się nie zdecydowano. Skorzystano z nadbrzeżnej drogi i powędrowano nią dalej. Wyczuwano, że jakieś nieznane siły pomogły im w tej wędrówce.

Poczuł rękę Strupicza, kiedy życzo im spokojnej dalszej drogi. Rośli wartownicy znad przeprawy dali im do zrozumienia, że zapłacono sowity okup za ich przejście.

Noc przetrwali pod Sośnikami, nad głębokim jarem Urwistej przy Borowym Jarze. Następnego dnia w komplecie cała wyprawa dotarła do Strupic, osady leżącej nad szeroko rozlanym Bobrem. Stało tu szesnaście chatynek, pokrytych trzcinaami i powleczone wielkimi skórami jeleni i turów. Ludzi tu nie było widać. Pełni obaw ukryli się w lesie, jedynie przy ognisku siedział stary Sambor z brązowym toporem i żółtym nożem. Pozdrowili go grzecznym gestem, odpowiedział im spokojnie i stanowczo - „pochwalony”.

Wioska stała nad wodą przy lesie, była schludna i czysta, porządek był przy każdym obejściu. Chaty otoczono sążniami drewna przygotowanymi na zimę, wokół też suszyło się w kołach wiele naciągniętych skór bobrów i niedźwiedzi.

Przed ujściem Złotuchy do Bobru stała duża, drewniana chłżyna, w której spotykano się na wiece i w ważnych sprawach. Z dala było widać kąpielisko, a w górze rzeki czerpnie czystej wody. W lesie stał też kilkuwiekowy chram. Gałęzie wielkiego dębu osłaniały go prawie zupełnie. Z niego widać było wydobywające się dymy z płonących łuczyw, unoszące się po lesie, które otaczały go zagadkową aureolą. Wokół pachniały zioła i szyszki, jednak nic więcej tam nie było można dostrzec, poza stojącą przed wrotami chramu, wiedźmę z długimi kosami. Miała zapłakane czerwone oczy. Dziewczyna postawszy chwilę, otwarła wierzeje i weszła do środka, wówczas zauważono wielkie ognisko. Niewiasta podeszła do niego wolnym krokiem i usiadła na kamieniu. Obok siedziała stróżka. Przy świetle ogniska można było obejrzeć jej smutną i nieszczęśliwą twarz. Obie patrzyły na przybyłych z ciekawością i powagą, potem zaczęły dokładać łuczyw do ożóka ogniska i nucić płaczliwe pieśni.



Według prastarych kronik śląskich na miejscu dzisiejszej Jeleniej Góry istniała słowiańska osada targowa. W 1108r Bolesław Krzywousty umacnia ją murami obronnymi, a 3 lata później wznosi zamek na wzgórzu w widłach rzeki Bóbr i Kamiennej. Na prawa miejskie Jelenia Góra czekała do 1200 roku.



Woj Bolka II w Puszczy Sudeckiej

Hanusch z Ziemowitem odeszli spod chramu, wcześniej widywali obrzędy pogańskie i znali kilka opowiadań, jednak wiele z nich było zagadkowych i niezrozumiałych.

Naprzeciw Grabarów, pomiędzy Kozińcem a Jelenią Skałą i przy ujściu Radomierki do Bobru, na wysokim wzniesieniu wi-dać było gniazdo obserwacyjne. Zamaskowane i okryte gałęziami, kontrolowało wszystkich, którzy zdążali do Zamku Krzywoustego za Nowym Miastem. Przybywali tędy podróżni z Wrocławia, Strzegomia, Bolkowa i Wojcieszyc. Licznie jechali tu na koniach przez Przełęcz Komarnicką.

Za zielnikiem rzeka płynęła wzdłuż Grabar szeroko rozlanym korytem, zwężała się dopiero przed ujściem do Bobru. Naprze-ciwko Strupic w błękitnej wodzie topił się grzbiet wielkich Gór Śnieżnych. Rzeka tu również rozlewała się szeroko, na staje. Na kilku wyspach i wiszarach można było spostrzec gniazda czapli, kormoranów, a nawet bocianów. One już jednak odleciały. Za to ciekawskie czaple fruwały nad osadą wypatrując smacznych ryb, które często tu otrzymywały na łąkach. Jesień w Śnieżnych Górach była ciepła i słoneczna, choć nocami temperatura spadała bliska zera.

Uroczyste powitanie Hanuscha i Homana odbyło się w wielkiej chiżynie nad Złotuchą. Strupicz zaprosił przybyłych Dziadoszan na powitalną uroczystość. Stały na stołach sycone miody, było dużo rozmaitych korowai i kołaczy, a także piwo, wytwarzane od niedawna przez bobrański browar. Uroczystość była znaczna. Przywieziono wiele beczek miodu i wosku, skór i dziczyzny, ale Strupicz najbardziej cieszył się z drwali i budowniczych chiżyn, na których z utęsknieniem czekał.

Kiedy bawiono się przy ognisku, Strupicz poprosił radę starszych oraz przedstawicieli Homana na spotkanie w jego grodzisku. Hanusch deptał z zaproszoną dwornią, goście szli piękną lipową aleją na północ od Bobru, wokół górzystych wzniesień, aż do rzeki Złotuchy. Po prawej stronie wzgórza było skaliste wzniesienie

okryte lasem z dębów i sosen. W połowie góry stały trzy chizyny, wyżej był głęboki loch, a nad nim stało Grodzisko Strupicza. W blasku zachodzącego słońca wydawało się barwy pomarańczowej. Wysoka, drewniana stołba wystawała ponad lasem, okryta wysuszoną trziną złotego koloru. Miała spadzisty dach i zadaszenie nad wejściem. Było też murowane w zrąb kamienne wejście do chaty. Obok rósł górski zielony świerk, który ją przyozdabiał. Za nim długa, wąska chizyna, okryta trziną i skórami, a za nią wielkie drzewo z żółtymi liśćmi, ubarwione zachodzącym słońcem.

Chata robiła wytworne wrażenie, bo i miejsca w niej było wiele. Przed horodyszczem stał wysoki tyn z bali obronnych, otaczający obejście wokół. Tutaj prawie przez całą noc toczono rozmowy, które dotyczyły przede wszystkim puszczy, budowy dróg, osad, ale też wydobywania kruszców, zdobywania szlachetnych kamieni i zdrowotnych ziół. Homanowi i Hanuschowi spodobało się, że zaplanowano jesienne polowanie na jelenie, którego pokot, jak każdego roku, miał być prezentowany przed Grodem Krzywoustego.



MIESZKAŃCY LIPOWEJ POLANY

Polana z rzeczką Złotuchą znajdowała się pomiędzy dwoma wniesieniami na Pogórzu Kaczawskim, które kończyły się wysoko na grzbiecie gór. Była to szeroka dolina, wznosząca się łagodnie ku górze. Od Bobru biegła na północ, otoczona ze wschodu, północy i zachodu wysokimi wzniesieniami. Chroniły one ją przed gwałtownymi, groźnymi wiatrami i burzami niosącymi wilgotne i zimne powietrze.

Płaska dolina była gęsto zalesiona starymi lipami i wiekowymi dębami. Powyżej Grodziska Strupicza, nad samą rzeką, stało kilka chałup. Pierwsza pod wielkim Mieszkowym dębem była największa ze wszystkich. Przy niej pobudowano wietnicę z drewnianymi ławkami pod konarami wielkiego drzewa, w miejscu gdzie wiecowano i odbywały się spotkania.

Dalej mieszkała rodzina Serbów Nadłabańskich, która miała licznych krewnych w Sudetach i byli to w większości wyśmienici bednarze. Pod górą stały loszki i ziemianki do przechowywania zapasów żywności, a jedna wielka, miała nawet wieże o dwu skrzydłach. Przy nich leżały dwie drewniane pływakczki, wyciągnięte z wody po nocnym połowie ryb.

Za nimi na zachodnim zboczu góry, na polanie, za zasiekami mieszkali krowy, owce i kozy. Bliżej w osobnej zagrodzie widać było dużo koni. Te jeszcze szczególnie były ogrodzone. Każdego roku już od wielu lat, niedźwiedzie wykradały im owce. Ostatniej jesieni zagryzły ich sześć i dwa konie. Ogrodzenie ciągle poprawiano, budowano nowe i wyższe zasieki.

Na południowym zboczu góry, na słonecznej polanie, stały wielkie, wygięte koła z olchowych gałęzi, a obok były mniejsze. W nich do słońca zwrócone były napięte skóry niedźwiedzi, rysy,

kun i jeleni. Tych ostatnich najwięcej, bo też jeleni było tu dużo, a skóry używano najchętniej do krycia dachów.

Pod najgrubszą lipą stała chata o spadzistym, trzciniowym dachu aż do samej ziemi. Mieszkała w niej rodzina Lisów. Dalej mieszkali Radwanowie i Łabędziowie, w sumie na polanie mieszkało czternaście rodzin. Przede wszystkim byli to myśliwi i bartnicy, ale poszukiwali też rud żelaza, kruszców i szlachetnych kamieni. Dawali tutaj początek osadnictwa, w miarę przemysłowego, ubiegając kolonizację rolniczą. Życie tych ludzi było zupełnie inne niż życie rolników. Zaczynało się od czynności łowieckich oraz bartniczych, ale też kończyło się handlem, a czasami nawet i leśnym zbójnictwem.

We wczesnym średniowieczu zwierzyny było w bród. Gęste połacie lasów, nasłonecznione i ciepłe stoki Gór Śnieżnych upodobały sobie szczególnie jelenie. Ze względu na obfitość pożywienia bardzo licznie występowały tu niedźwiedzie i wilki. A kiedy rozpoczęto uprawę pól, które wrywano z gęstych lasów, coraz bardziej wzrastała ilość dzików. Gęsto zalesiona puszcza i rozlewiska Bobru stały się atrakcją dla łosi, a cieplejszy klimat w południowej Europie ściągnął z kurczących się lasów północnych kraju coraz rzadsze już tury.

Nad Złotuchą stała wielka wędzarnia, z której zapachy pieczonego mięsa roznosiły się po całej okolicy. Przed nią ludzie Homana otrzymali miejsca na pobudowanie dodatkowo kilku chizyn. Było to suche, bardzo widokowe miejsce na polanie, z którego oglądać można było jak na dłoni grzbiety Gór Śnieżnych.

Przed Grodziskiem w rozlewiskach rzeki widać było liczne trzęsawice i wiszary, umożliwiały one bytowanie bobrom. Ivo Jastrzębiec był odpowiedzialny za utrzymanie żeremi tych zwierząt na Bobrze aż do Borowego Jaru, gdyż był to zwierz królewski i starannie ochraniały ze względu na jego wyjątkową wartość. Przed nimi za rzeką stała puszcza tajemnicza, nie odkryta i nie znana, z której tylko skąpe wiadomości przynosili śmiałkowie po niej wędrujący.

Przybycie nowych drwali, cieśli i bartników razem z Homanem rokowało nadzieje wielu ludzi, nie tylko w grodzisku, na przekroczenie Bobru. Mieli budować most i drogę, wiodącą do Ciepłych Źródeł oraz postawić w osadzie chłozyny dla nowo przybyłych osadników.



Starszyzna Strupicza obradowała już drugi dzień. W tej tajnej naradzie uczestniczył również Homan i Hanusch. Przybył też do Grodziska przyjaciel Strupicza Wawrzyniec z wleńskiej kasztelani.

Dla dworni naradę zwołano o wiele później w witynie, pod Mieszkowym dębem, w ostatnim dniu miesiąca. Wieczór był ciepły, wszyscy z osady zasiedli wokół, bo ciekawe wydarzenia miały być omawiane.

Strupicz był wytrawnym przywódcą. Doświadczenie zdobył w bojach i od swych ojców i dziadów, którzy tu od wieków gospodarowali i chronili granice. Powitał serdecznie wszystkich przybyłych i Wawrzyńca. Opowiadał o działalności osadników

i zebraniu przez nich dużej ilości miodu i wosku, budowie leśnych barci i gromadzeniu żywności na zimę.

Potem głos oddał Wawrzyńcowi z kasztelani wleńskiej, który opowiadał o ostatnich latach sąsiedzkiego okręgu wleńskiego. Bardzo dużo uwagi poświęcił księciu Henrykowi Brodatemu i jego małżonce księżnej Jadwidze. Mówił, że za ich panowania na terenie kasztelani rozpoczął się intensywny ruch osadniczy, kolonizujący nadbobrzańską puszcę.

Mówił, że dotąd na tych terenach nazewnictwo było wyłącznie polskie. Książę Henryk Brodaty sprowadził sukienników do małej osady rybackiej Brzozowo nad Bobrem, dając początek miastu Wleń. Wydał też dokument o współpracy z Nieleśtnem, Pilchowicami i Strzyżowcem. Mieszkańcy tych małych miejscowości płacili daniny w postaci bobrowych skórek i plastrów leśnego miodu.

Potem przyszły lata przełomowe dla puszczy. W ciągu niewielu lat pod toporami przybyłych osadników padała odwieczna puszcza, a na jej miejsce wyrosły nowe osady i zaznaczył się stopniowy napływ kolonistów.

Zapachy smoły i palonych ziół nasycaly ciepłe powietrze snujące się z wędzarni. Dymy i iskry szły szeroko ku górze do otworów w dachu, a wiatr je znosił nad wietnice i upajał, odurzał stałych i przybyłych mieszkańców. Zbliżał się wieczór, zapłonęły kaganki i świece, przyniesiono też sycony miód, którym częstowano wlewając do rożków. Wnet w ruch poszły gęśliki i stare melodie napełniły to spotkanie.

Później znów nastała cisza i Wawrzyniec dalej opowiadał o księciu Bolku I Surowym i jego dynastii, która przez ponad 100 lat władała ziemią świdnicko-jaworską i kotliną nad Bobrem. Tworzył tu kraj zagospodarowany i bogaty, bo łączył siły oręża z dyplomacją, umiał zachować pełną niezależność od swych sąsiadów. Wawrzyniec mówił o rozpoczęciu budowy dwunastu zbroj-

nych warowni wzdłuż czeskiego pogranicza. Od Wlenia do Janowic nad Bobrem stanęły dumnie, broniąc południowej granicy.

Strupicz był wielkim patriotą, i słusznie przewidywał, że wycięta puszcza, pobudowane w niej drogi i osady za Bobrem, przyczynią się do zmniejszenia liczby słowiańskiej ludności na pograniczu pod Śnieżną Górą. Był wdzięczny i bardzo zadowolony z osób przybyłych spod Wrocławia, Kalisza, znad Baryczy i Prosnego, z plemion Dziadoszan i Polan, spod Mysiej Wieży, Gniezna i Lednicy.



POKOT JELENI NAD MŁYNÓWKĄ

Po przybyciu Dziadoszan do grodziska nad Złotuchą, stało się ono bardziej popularne niż przedtem. Na wieść o nowych osadnikach, przybył nie tylko Wawrzyniec z kasztelani wleńskiej, do której osada nad Bobrem należała, ale także z Krzeszowa ojciec Ambroży oraz kilku wysłanników z polskich osad w kotlinie.

Ludzie Homana dali się poznać, jako prości, dobrzy rzemieślnicy i zdolni myśliwi. Chwalili sobie miejscowy klimat, który był mniej łagodny od tego, jaki wcześniej znali na nizinach. Mówili, że powietrze jest tutaj czystsze i zdrowsze. Zauważyli też, że wraz z zachodami słońca nadciąga paraliżujący chłód i wiatry, które zmuszają do chowania się w chałupach. Ogromne wrażenie robiła na nich pora jesienna, barwy żółtych i czerwonych liści drzew, za rzeką białe szczyty gór, łagodnych i niewinnych, a wcześniej przecież przeżyli kilka burz z gwałtownymi ulewami, które przyływały w doliny.

Wszyscy czekali na zapowiadane przez Strupicza łowy na jelenie. Zwierza tego występowało tutaj bardzo dużo. W słoneczne, mroźne wieczory i poranki na pokryte szronami uprawy wychodziły wielkie jego chmary. Głośno grały na północnych stokach Gór Kaczawskich, a ryk był tak donośny, że robił wrażenie wśród osadników na zamku i w grodzisku.

Strupicz opowiadał, że jelenie mają swe ostoje na Chrośnickich Błotach, Łysej Górze i Leśnicy. Są tam wielkie lasy, ale przychodziły też spod Jezowa Sudeckiego pod Sośniak i dalej na uprawy pod Złotuchę.

Tam były pola uprawne z posianymi oziminami, teraz pokrytymi szronem. Jelenie robiły wielkie szkody wygrzebując kopytami spod ziemi świeże odrosty, korzonki i ziarno. Pod lasem obok rzeki żyto tego roku wcale nie wyrosło, tak było zniszczone przez zwierzęta. Tak się tu działo od wielu lat. Zwierzęta te uznały, że karmy było tu bez liku i łatwo, bez trudu mogły zaspokajać swój głód na uprawnych polach.

Na nich, po wylewach Bobru, ziemie były żyzne, a uprawy znaczące. Jelenie tu przychodziły chmarami od lat, niszczyły je, z których i tak zboża nie starczało dla miejscowych ludzi. To samo działo się pod górą Godzisz na uprawach książęcych.

Łucznicy z dworu Bolesława Krzywoustego i inni myśliwi każdego roku ochraniali pola i urządzali polowania, a zdobyte tusze prezentowano każdego roku nad kanałem Młynówką. Tutaj stał sześciokołowy młyn i piwny browar, tędy wiodł przez Nową Osadę szlak do wiosek w kotlinie i dalej przez Śnieżne Góry do Czech. Droga ta była trudna, wiodła przez okolice straszne, nogą ludzką od wieków nie tkniętą, często biegnąca w chmurach, pełna kamieni i stromych skał. Nad nią jednak osadnictwo spotykano już od dawien dawna.

Pod Grodem Krzywoustego, przy zakolu Bobru i Kamiennej, naprzeciw częstokołu przy drodze Zamkowej, znajdował się plac handlowy. Nad Młynówkę każdej jesieni wędrowały tusze jeleni, dzików, wilków i rysi, którymi handlowano. Pokoty były układane w dorzeczu rzek Kamiennej i Młynówki przekopanej równolegle do Bobru. Cieszyły się uznaniem i ciekawością osady i przybyłych handlarzy, przynosiły też znaczące zyski rzemieślnikom i myśliwym. Koła wodne miały tu nie tylko ziarno na mąkę, ale i sółd na piwo, mączkę z kory dębowej do garbowania skór oraz foluszowano sukno.

Dalej za Młynówką na wzniesieniu stały obok siebie ławy chlebowe, rzemieślnicze i jatki mięsne, gdzie handlowano dziczyzną, wyrobami z poroży i skór oraz grandli. Stały też tam przy uli

cach bez nazw, stajnie, obory i stodoły dla zwierząt i przechowywania towarów.

Odtąd Nową Osadę, ze względu na wielką ilość jeleni, którymi tu handlowano każdego roku, zaczęto nazywać Cervimontium (Jelenia Góra).



*

Przyszła słoneczna jesień, babie lato czepiało się srebrzystymi niemi przywiedłych liści drzew, wysokich ostów i traw nad Złotuchą. Lasy już wokół osady pożółkły, pokryły się czerwienią i śniedzią. Każdej księżycowej nocy odzywał się królewski zwierz, łączył się w chmary i schodził na ludzkie uprawy, niszcząc je często bezpowrotnie. Zaczęło się rykowisko, okres polowań na jelenie.

Wrażliwość, ostrożność i zmysły jeleni sprawiały, że łowy na nie, nie należały do łatwych. Łowca musiał pierwszy zobaczyć zwierza, niż zwierz myśliwego. W przeciwnym przypadku wszyst-

kie zabiegi jego upolowania były daremne. Należało też uwzględnić kierunek wiatru. Wykopywano w ziemi ukrycia lub siadano wysoko na drzewach w czatowniach i ambonach. Do podjazdu na czaty używano koni, aby nie zdradzić swoich śladów i pozostawić zapachu na drodze. Na drzewo zeskakiwali z koni, a one wracały do osady z drugim jeźdźcem. Był to najchętniej stosowany sposób polowania na jelenie tu w Górach Kaczawskich.

W ten sposób udało się upolować wiele kapitalnych, silnych byków. W naturze każdego łowcy leżało zdobycie byka z największym porożem na łbie. Naśladując go na zwiniętej tubie z kory brzozonej, doprowadzał jelenia na strzał. Wytrawni myśliwi tej jesieni zdobyli sześć kapitalnych byków, które od razu trafiły nad Młynówkę. Kilka jednak raniono i przepadły w gęstych lasach.

W połowie października, po kilku dniach deszczowej pogody wreszcie rozchmurzyło się i nastały mroźne dni. Jelenie nękanie przy uprawach polnych zaszyły się w lasach i odbywały swe gody z dala od ludzi. Czekanie na nie przy uprawach nie dawało już żadnej nadziei na spotkanie z nimi.

Zarządzono kilkudniowe polowanie zbiorowe. W Strupicach zgromadzono doświadczonych tropicieli i zebrano gończe psy pod przywództwem młodego Zagraja. Łuczników było czternastu z grodu Krzywoustego i dwunastu z osady Strupicza. W jego imieniu polowanie miał prowadzić doświadczony łucznik Syrokomla. Znał on bory nad Bobrem najlepiej ze wszystkich.

Do polowania przystąpiono wczesnym rankiem, przy mroźnej pogodzie i słonecznym dniu. Łucznicy lasy obstawili na przesmykach, wzdłuż rzeki Bełkotki. Naganka wraz z psami ruszyła z góry pod Dziwiszowem w stronę wzniesień Rybina i Popielina pod Grabarami.

Uderzając kijami po drzewach naganiacze spokojnie schodzili ku dołowi. Spuszczone psy, biegając po lesie, rozszczękały się nad rzeką. Znalazły jelenia, ukrytego w gęstych chaszczach, który od kilku dni przebywał tam raniony na polach uprawnych nad

Złotuchą. Naganka dalej zmierzała w stronę wzniesień przed Grabarami i Maciejową.

Na łuczników wyszła duża chmara jeleni, najpierw młodzież, a za nią łanie i na końcu byki. Co najmniej pięćdziesiąt sztuk, które uczestniczyły tej jesieni w swoich godach na Pogórzu Kaczawskim i polach uprawnych przed grodziskiem Strupicza. Jelenie schodziły ostrożnie. Kiedy dojrzałe sztuki zaczęły przeskakiwać strumień, posypały się strzały z łuków.

Zagraj był doświadczonego myśliwym, umiał spokojnie poczekać na największego byka. Pozwolił przejść obok chmarze łan i kiedy wydawało się, że już zwierza w miocie nie będzie, naraz wyskoczył duży kapitałny byk. Zauważył on myśliwego, ale nim rzucił się do ucieczki, długa strzała utkwiała w jego grzywiastym karku. Byk skoczył do tyłu, druga strzała go nie trafiła, biegł pod górę, jednak coraz wolniej, aż osunął się na ziemię.

Syrokomla też zdobył dwa byki, jednego szesnastka i koronnego osiemnastka. Większość jeleni wróciła z powrotem pod górę. Znów głośny stukot po drzewach nappełnił lasy. Zwierzęta rozbiegły się i próbowały przejść rzekę na własny sposób. Młode sztuki łucznicy przepuszczali, a byki stare i cherlawe stały się celem strzelców. Polowanie trwało do wieczora, potem nastała cisza. Na skraju borów zapłonęły wielkie ogniska.

Byki tej nocy już nie grały, próbowały znaleźć wyjście z zasadzki. Wiele sztuk przeszło przez nagankę i wróciło na Chrośnickie Kopy. Stare, ranne sztuki pozostały w lesie. Z rana naganka ponownie ruszyła. Było ich jednak niewiele i niewiele padło. Użalano się, że za mało ludzi brało udział w polowaniu, że nie obstawiono szczerlnie miotu i przesmyków. Jeleni wiele pozostało w gęstwinach, zarośniętych młodnikach, w lesie. Naganiacze nie zawsze szli z wiatrem, lub za głośno hałasowali, co pozwoliło zwierzynie skutecznie się ukryć. By polowanie odbywało się gładko i sprawnie, wiele zastrzeżeń miano też do psów, które bez powodów goniły ranne sztuki po lesie.

Do południa odnaleziono osiem byków i czternaście łań. Konie ściągnęły je na polanę przy drodze z Dziwiszowa do Grabarów. Tutaj ułożono jelenie pod względem wielkości. Najpierw byki, potem łanie i na końcu sześć lisów.

Odrąbiono koniec polowania, podziękowano wszystkim za wysiłek, za ratowanie przyszłorocznych zbóż. Tradycyjnie rozpalono ognisko, upieczono wątróbkę i wzniesiono toast za zwycięzców, Zagraja i Syrokomlę, miodową nalewką.

Wozacy na dwukołowych wózkach przewieźli upolowaną zwierzynę nad Młynówkę. Tam odbył się pokot, połączony z handlem. Na jelenie czekały rzeźnicze jatki, a na skóry, wieńce i grandle rzemieślnicy. Ten pokot nad Młynówką był w tym roku największy. Syrokomla zdobył najpiękniejszego byka w Górach Śnieżnych. Podobny pokot uroczyście odbył się przed zamkiem książęcym na „różanym targowisku”.

Władze Zamku i Osady podziękowały łucznikom za uratowanie nowych plonów nad Bobrem i Kamienną i przekazały tradycyjne dla myśliwych puchary piwa z browaru nad Młynówką.



WYPRAWA JAKUBA ŚWINKI

Architektura zamku Świny kształtowała się przez wiele lat. Stał on na skalistym cyplu, wśród otaczających go skał i lasów, przy drodze wiodącej z Wlenia, Jeleniej Góry i Wojcieszowa do Lipy, a stamtąd do Świn i Strzegomia. Najprawdopodobniej wybudowano go na miejscu drewnianego grodu z dziesiątego wieku. Był malowniczo położony, dwie i pół wiorsty od skalistego Bolkowa. Stał się też ważnym ogniwem w łańcuchu grodów piastowskich, na południowej granicy z Czechami.

Już w 1108 roku kronikarz czeski wymieniał Świny, jako warowny gród na Śląsku, który wraz z szeregiem innych bronił przejścia przez Przełęcz Kamiennogórską w głąb terytorium Polski. Stanowił bardzo ważny ośrodek administracyjno-wojskowy, który pełnił dobrze swe funkcję przez ponad 100 lat. Ostatnie wiadomości o obronnym charakterze kasztelani Świny i o kasztelanie Piotrze rezydującym w grodzie, pochodzą z roku 1248.

Po pewnym czasie obowiązki grodziska obronnego przejmuje nowo powstały obok, jeszcze bardziej warowny zamek Bolków.

Naprzeciwko grodu i skalnych baszt Popielowa i Swarny, w gęstych lasach i załomach skalnych mieszkaly wielkie watahy dzików. Upodobały sobie te skały, bo wilcze zgraje tu bezkarnie zagryzały sarny, jelenie i nawet łosie. Dziki chętnie korzystały z tych zabójstw, gdyż resztek pożywienia miały pod dostatkiem. Po lasach chodziły olbrzymie odyńce i lochy z warchlakami, wyrządzały znaczne szkody w uprawach osady. Legenda głosi, że przed wielu laty pod koniec jesieni po gwałtownej burzy, w lesie znaleziono przygniecione go konarem drzewa warchlaka, zaopiekowano się nim i przywieziono do grodziska. Z czasem wyzdro-

wiał, chodził razem z owcami po łące i wyrósł na wielkiego groźnego odyńca. Od samego początku nazywano go „świnią”, bo był jasnego koloru. Później zachowywał się jak posłuszny pies. Nikomu obcemu nie pozwolił przekroczyć bram grodziska. Bezbłędnie rozróżniał swoich od osób obcych, a tych ostatnich przepędzał. Z podziwem trwały te dzicze popisy przez wiele lat. Odtąd obronne grodzisko na Pogórzu Bolkowym nazywano Świny, a mieszkańców tego grodu nazwano Świnkami i tak pozostało już do końca jego dni.



Ród ten miał swych przedstawicieli w Polsce, Czechach i w Niemczech. Znani byli Świnkowie służący na dworze Piastów legnickich. Byli ludźmi długo żyjącymi, np. Jan żył 110 lat. Kiedy się urodził jego matka miała 15 lat, a ojciec 81. W późniejszym wieku długo też żył piniacz, hulaka i kronikarz Jan na dworze księcia w Legnicy.

Z gniazda Świnków wywodziła się jedna z najznakomitszych postaci - Jakub Świnka, sprawujący funkcję biskupa w Gnieźnie. On to już w starszym wieku wybrał się do grodu ojców, najpierw nad Barycz, Prosnę i Odrę. Potem razem z księdzem Miechem, uczestniczył w wyprawie Homana Szlakiem Mieszkowym do grodziska Strupicza nad Bobrem, a stamtąd do rodzinnych Świn.

*

Aklimatyzacja biskupa w grodzisku Strupicza nie trwała zbyt długo. Jakub przygotował się do odwiedzenia w Świnach swej rodziny. W międzyczasie pracował razem z księdzem Miechem. Ustawili pod górą na polanie lipowej drewniany krzyż, pod którym modlili się o spełnienie swych marzeń. Wykonywali też prace przy budowie nowych łodzi do połowu ryb. Zakupili konie, uprzęże i wiele drobiazgów na znaczącą i trudną podróż przez Góry Kaczawskie. Rozmawiali z wędrowcami i podróżnikami, zbierali wiadomości o czekających ich niespodziankach na górskiej drodze.

W listopadzie spadły obfite śniegi i zmusiły ich do pozostania w grodzisku aż do wiosny. Nad Bobrem dla nich pracy nie brakowało: wycinano drzewa, spławiano je rzeką, łowiono ryby i grodzisko ochraniano przed wilkami.

Skoro tylko słońce zaczęło dłużej świecić, a śniegi spłynęły do Bobru, zastęp Jakuba wyruszył w drogę. Oprócz niego jechał Miech i czterech wytrawnych parobków, przewodnik i wojowie. Wyruszone z Grabarów na Przełęcz Kaczawską. Starą drogą poprzez Komarno szli na przełęcz pod Baraniec i Skopiec. Nie była to droga łatwa, wiodła po warstwie góry, wśród wiekowych świerków, była zaśnieżona i okryta lodem. Tutaj zima trwała jeszcze długo, ze względu na znaczne wzniesienia i ciemne, gęste lasy. Pod sam Wojcieszów przeszli z trudem w górskich warunkach, a dalej do skały Cisowca i Młyńca, nad rzekę Świerzawę. Po drodze spotkali jelenie i natropienia dzicze, widzieli wilki jak ścigały lisa i chmary saren.

Wojcieszów był już dużą osadą nad rzeką Kaczawą. Tutaj już nie brakowało informacji, co do dalszej drogi. Przenocowali u przyjaciół przewodnika, by wczesnym rankiem powędrować dalej pod Marciniec i nad Nysę Małą, a później Lipkę.

Jakub ciągle zastanawiał się czy widziane przez nich drewniane szubienice pod Wojcieszowem i dalej pod Lipą wróżyły im nieszczęście. Dalsza droga była jednak szczęśliwa. Wędrowali Pogórzem Wojcieszowskim, aż do grodziska w Świnach. Jakub znał tę drogę lepiej niż ich przewodnik.

Pod wieczór przed nimi stało grodzisko. Dawna drewniana budowla zmieniła się nie do poznania. Kiedyś istniał tu gród i podgrodzie, teraz stanęli przed bramą kamienną i zamiast drewnianej budowli ujrzeli zbudowaną z kamienia wieżę mieszkalną, otoczoną murami. Była to budowla wielopiętrowa, o ścianach potężnej grubości, przy niej piwnice wykuto w skałach, a dach nakryto gontem. Wjazd do zamku stanowiła ostrołukowa kamienna brama. Nie czekali długo na jej otwarcie.



Herb Świnków

NA DZIKI W LIPOWYM WĄWOZIE

Kiedy otwarto podwójną zamkową bramę i Jakub ujrzał Jaśka, swojego bratanka, którego nie widział przez ponad trzydzieści lat, nogi ugięły się pod nim z wrażenia.

W serdecznym, czułym uścisku pozostawali jeszcze przez długi czas. Pod wrażeniem, zaproszeni goście weszli na wysoki parter wieży przez obronną zasuwaną bramę, gdzie były pomieszczenia mieszkalne. Za nimi znajdowała się sala kryta drewnianym stropem, o dużych otworach okiennych. Zachwycaly w niej piękne sztukaterie śląskie i bogaty wystrój myśliwski.

Tego wieczoru Jaśko Świnka z wielką radością gościł swego bratanka Jakuba i przybyłych razem z nim przyjaciół z grodu Strupicza znad Bobru, był pełen uniesienia i grzeczności dla przybyłych. Na kolację podano dziczyznę i wiele miejscowych dań z przepiórczych jaj oraz smażone dzikie kaczki.

Ksiądz Miech uroczyście poświęcił leśne dary podane na stoły i złożył życzenia przywiezione od Strupicza. Jakub nie krył wzruszenia ze spotkania ze swym bratankiem i jego gościnności. W grodzisku ucztowano do rana. Opowiadań Jakuba o dalekiej drodze i o przyjęciu w grodzisku Strupicza było bez liku.

Znając upodobania dworu do polowań, proponowano nocny wypad na dziki. Jaśko mówił, że w tych okolicach zamieszkiwało ich wyjątkowo dużo i to wiele znaczących okazów. Puszcza tutejsza ciągnęła się od Złotoryi aż do Świn i była uznawana za matczynik niedźwiedzi, jeleni i dzików. Tych ostatnich było w pobliskim Lipowym Wąwozie tak dużo, że pod Jastrowcem doszczętnie zniszczyły chłopskie uprawy.

Jakub był zadowolony z tej propozycji, bo jako młody chłopiec z Piotrem konno przemierzał te lasy. Często w Gnieźnie opowiadał o nich, bo tam lasów nie było, stąd słuchano go z ciekawością. Zaproszenie na polowanie przyjął z przyjemnością, bo chciał przypomnieć sobie dawne leśne wypad.

Wiosna na Pogórze Wojcieszowskim była barwna od kwiatów, a świeża zieleń świerków i sosen przyozdabiała wzniesienia po srogiej zimie.

Jaśko zobowiązał swych łuczników do przygotowania terenu i czatowni strzelniczych na następną noc. To, co polecił Jastrzębcowi, głównemu łowczemu na grodzisku Świny, łucznicy wykonali bezbłędnie. Odnaleźli podmokłą łąkę w Lipowym Wąwozie koło Jastrowca, przeoraną dziczymi szablami. Przygotowali też wiele wizurek i czatowni na przesmykach oraz zamaskowali je do podstępного użycia.

Łucznicy w wąwozie odkryli ogromną dolinę, a w niej świeżo porane podmokłe pole. Tutaj dziki szukały pędraków i tarzały się w błocie przed kleszczami. Miejsce to wydało im się znakomite i wyjątkowe dla zdobycia medalowego odyńca, którym chciał zabłysnąć ich władca.

Dalej dolinę porastały stare lipowe drzewa, gdzie z barci wybierano miód. Ostatnim razem w miodobraniu brali też udział bartnicy znad Bobru. Strupicz zaproponował, aby nazwano to miejsce Lipowym Wąwozem, podobnie jak aleję przy jego grodzisku.

Zastęp łowców przygotowano starannie, wszyscy otrzymali niedźwiedzie kozuchy i bobrowe czapy na nocną zasiadkę, wielkie łuki i ostro oprawione w żelazne szpikulce strzały. Jeszcze przed nastaniem zmroku sześć koni zawiozło ich na wyznaczone stanowiska. Jakub siedział w czatowni na skraju lasu, przy wąskim strumyku, za którym odkryto tropy wielkich dzichych rapci, ale stąpał też tu niedźwiedź i pozostawił w błocie odciski swych łap.



Miejsce to wydało im się znakomite i wyjątkowe, dla zdobycia medalowego odyńca, którym chciał zabłysnąć ich władca.

Opowiadał mu o nim Jastrzębiec, który często spotykał niedźwiedzia latem na drzewach, podkradającego miód pszczołom.

Jastrzębiec miał następne stanowisko pod samotnym drzewem na skraju podmokłej i zbuchtowanej łąki. Obaj byli zadowoleni, bo lekki wiaterek wiał prosto w ich twarze, nie zdradzając ich czatowni.

Przed północą zrobiło się już jaśniej, a po godzinie wilczy księżyc wyszedł zza lasu i oświetlił całe mokradło. Las zaczął żyć, co raz w nim coś pękało, poruszało się, zaszczekał lis i znów uci-
chło. Wiatr przestał wiać, ale jakieś rzadkie chmurki od czasu do czasu przyciemniały księżyc. Już grubo po północy Jakub usłyszał dość głośne chlupnięcie wody. Kiedy chmura odsłoniła księżyc, naprzeciw stał niespokojny dzik. Był wielki niczym duży cielak, jednak po chwili Jakub rozpoznał, że to locha z małymi warchlakami, które biegały wokół matki nie bacząc na głośne zachowanie.

Locha stała zwrócona w stronę Jakuba, który obserwował ją z wielką ciekawością. W końcu przyciągnęła do siebie całą watahę maluchów i odeszła spokojnie do lasu.

Jakub wiedział, że strzelać do małych warchlaków nie było w jego myślach. Postanowił dalej czekać. Był zadowolony z dziczej wizyty, bo przecież od dziesiątków lat nie był w lesie, i o oglądaniu dzików nie mogło być mowy.

Potem ostrożnie na mokradło wyszły dwa dziki, takie średniaki, przelatki, jednak były zbyt daleko od jego czatowni. Minęło wiele czasu nim Jakub zdecydował się na strzał. W tym nagle, jak duch ukazał się przed nim wielki odyniec. Stał spokojnie, dopiero świst strzały poderwał go do ucieczki. Pod lasem jednak położył się i znowu nastała cisza.

Jastrzębiec z dwóch przelatków zdobył jednego, który przyszedł bliżej jego czatowni. Następnie na łąkę wbiegła cała wataha dzików, jeszcze w lesie było ją słychać. Z tej dużej grupy Jakub odbił jednego dzika. Jastrzębiec nie widząc watahy, zaczął szukać

swej zdobyczy. Dzikie szybko opuściły mokrądlę. Wyszedł też Jakub i przyszedli pozostali łucznicy. Odnaleziono dwa dziki Jakuba i jednego Jastrzębca, inny jego dzik raniony farbował, ale poszedł do lasu i przepadł.

Pierwszy dzik Jakuba był duży, miał ponad dwieście funtów wagi, którego zazdrościli mu koledzy. Upolowane zwierzęta przewieziono na plac zamkowy i ułożono pod wędzarnią. Ten mniejszy Jakuba przeznaczono do skórowania, bo miał być pieczony nad ogniem.

Po udanych nocnych łowach biskup spał do obiadu, a kiedy poszedł na plac zamkowy, dzik wbity na dębowy pał był już pieczony. Zapachy ziół i dziczyzny roznosiły się po całym dziedzińcu. Kuchcik tylko stale polewał tuszę wytopionym tłuszczem i obsypywał ziołami.

Kolację spożywano już przy Jakuba dziczyźnie i przy gawędach z nocnej wyprawy. Jaśko pogratulował mu czarnej zdobyczy i był przekonany, że smacznie była przyrządzona. Potwierdzili to sami biesiadnicy. Stryj chwalił jego dbałość o zwierzynę leśną i gospodarkę na zamkowych dobrach.

Właściciel rodowy siedziby lubił, kiedy go chwalono za wysiłek, jaki włożył w modernizację rezydencji. Trwała wówczas budowa dwuszczytowego domu za wieżą. Murami ogroził nowy dziedziniec, poszerzył okna, ozdobił nowymi obramowaniami, a ściany pokrył dekoracjami. Zamek był okazały i zachwycał przybyłych swym wyglądem.

Okolice Bolkowa i Świn były jednak niespokojne. Wokół gromadziło się wiele band i rabusiów, którzy kilkakrotnie usiłowali okradać zamek. Stąd jego załoga była ciągle przygotowywana do obrony. Na wewnętrznych murach były rozwieszane makiety rabusiów. Wokół wieży, na murach rozwieszono też sylwetki jeleni, dzików i saren, była też skóra niedźwiedzia oraz stały makiety głuszców i dzikich kaczek.



Jakub długo nie czekał. Na łąkę wyszła cała wataha dzików, jeszcze w lesie było ją słychać. Z tej dużej grupy odbił jednego przelatka.



Jakub wiedział, że strzelać do małych warchlaków nie było w jego myślach. Postanowił dalej czekać. Był zadowolony z dziczej wizyty, bo przecież od dziesiątków lat nie był w lesie, i o oglądaniu dzików nie mogło być mowy.



Na treningach strzelano do nich z łuków i kusz, nabierano sprawności myśliwskiej i bojowej tak w lesie jak i przy obronie zamku. Wyrabiano i sprawdzano nową, skuteczniejszą broń i strzały.

Jakub zasmakował w strzelaniu do skóry niedźwiedzia. Tak sprawnie i celnie oddawał strzały, że chyba to zachęciło go do pozostania na dłużej u Jaśka. W Świnach zagościł na dłużej, miał wiele do opowiadania i jeszcze nie raz chciał skorzystać z polowania na dziki, a jesienią na niedźwiedzia i podziwiać to rodzinne piękno.

Książd Miech razem z przewodnikiem i wojami wkrótce opuścili zamek. Byli potrzebni Strupiczowi w rozbudowie osady nad Bobrem.



JASKINIOWY BARTEK

Bartek był młodym misiem. Znaleziono go pod Barańcem w czasie polowania na rogacze. Wysoka, gęsto zalesiona góra była doskonałym schronieniem dla dziko żyjącej zwierzyny. Pod nią od strony Wojcieszowa uprawiano zboża, w tym żyto i proso oraz jęczmień i owies, które było doskonałą karmą dla saren. Do tej spiżarni ściągaly każdego roku, z całej okolicy chmary dzikiej zwierzyny. Poprzedniej zimy naliczono ze sto dwadzieścia sztuk saren, które tu żerowały w dwóch oddzielnych chmarach.

Każdej wiosny i jesieni wyrządzały niepowetowane szkody i niszczyły uprawy rolne, w które z takim trudem włożono dużo pracy, zwłaszcza w uprawę ziemi. Nie tylko trud szedł na marne, również i cenne ziarno bezpowrotnie tracono.

Chłopi z Podgórek i z Wojcieszowa monitowali o swych stratach na Zamku, a ten następnego roku wysłał łuczników dla ochrony pól, zapobiegło to jednak w dalszych szkodach na krótki okres czasu. W tym roku łucznicy ze Strupic otrzymali zadanie minimalizowania strat przez jesienne polowanie pod Barańcem i Skopcem na rogacze i sarny.

W nocy przez Przełęcz Komarnicką przeszła potężna wichura. Burza wyrwała wiele drzew, w Chałupach pod Komarnem pioruny podpaliły dwa stogi siana, ale nadchodzący dzień zapowiadał się bezchmurny, ciepły i można było polować.

Tego dnia w Strupicach Hanusch z Ziemowitem wybrali zastęp dwunastu męźnych łuczników oraz kilku przewodników znających Góry Kaczawskie i wczesnym rankiem konno wyruszyli na łowy. Szli znaną starą drogą, od Komarna przez przełęcz do drogi okalającej północny szczyt Skopca. Droga ta była stale

uczęszczana przez mnichów ze Strzegomia i prowadziła przez Świny do Wojcieszowa, a następnie Jeleniej Góry.

Otoczyli zboża pod górą nim nastał świt. Z wysokich zbóży na przyległych polach, sarny wędrowały na wypoczynek do dziennych leży w lesie. Wiele z nich pozostało na polu, zdobyte przez wyborowych strzelców Hanuscha.

Ziemowit stał na przesmyku łączącym wysoki łąn jęczmienia z lasem świerkowym. Tutaj pierwszy przywędrował stary rogacz o parostkach złożonych w kształt krzyża. Nie spodziewał się tego spotkania, siedł spokojnie jak każdego dnia. Nagle usłyszał miłe szczeknięcie sarny i stanął. W tym samym czasie ostra strzała przeszła go zdradziecko. W całym łąnie wysokich zbóży nastał niepokój, spłoszona wielka chmara saren ruszyła wprost na las. Tu jednak czekała na nie zasadzka Hanuscha. Wiele z nich nie zdążyło przeskoczyć przesmyku i pozostały na skraju uprawy.

Sarny ściągnięto konno do drogi, gdzie załadowano do dwukółowych wózków. Jednak poczynione przez nie zniszczenia były ogromne, choć w ostatniej chwili zapobiegnięto jej całkowitemu straceniu. Hanusch twierdził, że sarny nie powrócą tu wcześniej jak za dwa, trzy tygodnie, a wówczas zboże będzie już zebrane.

W czasie powrotu z polowania, przy drodze obok Maślaka na Przełęczy Komarnickiej usłyszano płacz dziecka. Powstała konsternacja, zastęp zatrzymał się i pilnie nasłuchiwał. Kwilenie powtórzyło się kilkakrotnie. Pełni napięcia, pomiędzy wywróconymi przez burzę świerkami odnaleźli przywaloną przez wielki konar niedźwiedzicę, a obok niej małego niedźwiadka, który przytulił się do matki i sprytnie, ukrył całkowicie w jej gęstym futrze. Niedźwiedzica już nie żyła od nocy. Malucha zabrano, by nie zginął.

Hanusch wsadził go na swego konia i razem ruszyli w drogę powrotną. Niedźwiadek jednak nie umiał się utrzymać na końskiej grzywie i spadł. Znów usadzono go na karku konia. Bał się strasznie, ale miał ciepło i nawet z czasem zaakceptował tę podróż.

Pod wieczór dotarli do osady. Chmara gapiów i dzieci zachwycona niedźwiadkiem otoczyła konia. Podeszedł też przyjaciel Hanuscha Bartłomiej. Podrapał malucha za uchem, delikatnie zdjął z konia i posadził na ziemi, ten jednak nerwowo podskoczył i zaczępił się o jego sukmanę.

Hanusch opowiedział Bartłomiejowi, że znalazł tego misia blisko Połomu, góry, u podnóża, której dawniej odnaleziono gawry niedźwiedzia jaskiniowego, może i on ma coś z nim wspólnego, dodał.

Pieszczony niedźwiadek powędrował w ramiona nowego opiekuna. Ten z obowiązku wraz z dzieciarnią obszedł całe grodzisko pokazując przybyszowi jego nową siedzibę. Niedźwiadek był jednak dopiero zadowolony, kiedy dostał miseczkę koziego mleka. Chodzić jednak nie miał ochoty. Dalej był noszony przez swego opiekuna i zapoznawany z osadą. Pod bartną lipą pokazano mu gniazdo pszczół. Zapachy, które wówczas poczuł zapamiętał na zawsze.

Nie opuszczał swego pana nawet w ciągu nocy, spał czujnie obok niego. Potem zbudowano mu kojec obok chaty Strupicza, podając do picia miód z mlekiem, który bardzo lubił. Niedźwiadek kilka razy wydostał się z kojca. Spodziewano się, że uciekł do lasu, ale on wędrował po osadzie pomiędzy końmi i owcami, nie zaczepiając nikogo. Gorzej było z pskami, które najpierw czekały, a później próbowały się z nim zmierzyć. Musiał dalej siedzieć w kojcu, a zgraja psów obok, ale tak dalej być nie mogło.

Wbrew woli mieszkańców, wczesnym rankiem misia już nie spotkano. Przez trzy dni szukano go po lesie i wokół osady, bez rezultatów, aż psy rozszczękały się pod wielką lipą. Miś spał na gałęzi obok barci. Tam zasmakował miodu i wypoczywał. Odtąd był już tylko czujnym stróżem grodziska i stał na czele psiej hierarchii. Zaczęto nazywać go Bartkiem, od imienia swego opiekuna. Stał się najbardziej rozpoznawalną postacią w całym grodzisku. Naśladował dzieci próbując chodzić na tylnych łapach, a kiedy mu

się to nie udawało, z łatwością wchodził na drzewa i patrzył czy mu pozazdroszczą. Lubił też siadywać przy ognisku obok starego Sambora, który kopcił swą fajkę. Bartek przyglądał się mu długo, aż wziął pomiędzy zęby kawałek drewna i tak godzinami przebywał przy ciepłym ogniu. Wieczorami chodził na przyległe pola, obsiane jęczmieniem i żytem i przesiadywał na wysokiej skarpie. Jelenie i sarny bały się niedźwiedzia i tego roku zboże wyrosło nie zniszczone.



Dorastający Bartek jednak zwrócił uwagę obcej niedźwiedzicy, której odcisnięte w błocie łapy przstraszyły wszystkich mieszkańców osady.

Jesień minęła szybko i spadł pierwszy śnieg. Bartek wybrał sobie starą szopę z sianem i drewnem na zimę i tam zasnął na długo.

POŻAR GRODZISKA NAD ŻŁOTUCHĄ

Nowe Miasto pod zamkiem od dawna było osadą handlową, później władca nakazał otoczyć je murami obronnymi i nazwać Cervimontium (Jelenia Góra). W 1002 r. w drodze powrotnej z Łużyc Bolesław Chrobry odwiedził targowisko na Różance nad rzeką Kamienną u podnóża zamku.

W tym samym czasie powstał drewniany kościół, a jeszcze wcześniej młyn pomiędzy zamkiem a miastem nad rzeką Młynówką. Dalej na południowych stokach dumnie błyszczało Grodzisko Strupicza. Od samego początku było ogromną atrakcją i nowością dla odwiedzających Kotlinę Jeleniogórską.

*

Książd Miech, zadowolony z podróży, przybył do Strupicz Zamku Świny późnym latem. Wokół alei lipowej zboża porosły wielkie, a stare drzewa pod grodziskiem zapowiadały wielką obfitość miodu w swych barciach. Spotkał się też z nowym przybyszem Bartkiem, który pierwszy się z nim zapoznał i nie mógł się nacieszyć sprytem misia, a ten traktował go ostrożnie.

Rok ten jednak był wilgotny, smerdowie, którzy przybyli z zamku na Wzgórzu Krzywoustego, opowiadali nie tylko o budowie murów obronnych wokół miasta, ale też o wznoszeniu wałów przeciw powodziowych.

W Strupicach wzięto się do tej pracy zbyt późno. Deszcze zaczęły padać obfitymi nawałnicami. Razem z huraganowym wiatrem i ognistymi burzami niweczyły okolice. Mieszkańcy osady pracowali całymi dniami przy wznoszeniu umocnień nad Bobrem i Żłotuchą. Wody ciągle przybywało. Po trzydziestu dniach nieustannych opadów, o wieczorowej porze dnia, nagle przyszła trą-

ba powietrzna. Wywracała drzewa, rwała dachy i niszczyła chaty oraz wszystko, co stało na jej drodze. Wiele domostw zatopiła, inne spłynęły razem z wodą do rzeki.

Za rzeką w puszczy wichura powywracała lasy na zboczach gór, wyrwała i połamała wielkie drzewa, zniszczyła lipową aleję naprzeciw Grodziska Strupicza. Tragedia była to ogromna, poniszczyła zboża, które w końcu wypłukane z ziemi zgniły i spłynęły do Bobru.

Zapanowała bieda i nędza tak wielka, że nie było nawet lichego pożywienia. Nastąpiła szalona drożyzna i ubóstwo. Wybuchła zaraza, która uśmiercała wielu ludzi tak, że w niektórych osadach i domach pozostało jedynie po kilka osób. Na końcu tej deszczowej pory jeszcze jedna groźna burza przetoczyła się po grzbietach Gór Kaczawskich i podpaliła na nich lasy.

O północy olbrzymi błysk ognia zapalił szczyty skalistej góry, na którym stało Grodzisko Strupicza. Ogień w ciągu kilkunastu minut strawił też poniżej wybudowane chłazy. Świerki i sosny na kamiennej górze paliły się jak pochodnie. Spłonęły też stare barcie i drzewa na lipowej alei, główne źródło utrzymania osady i niedźwiedzia Bartka. Zginęło wielu ludzi, spaliła się wędzarnia i chaty w dolinie. Przeżyli tylko ci, co ukryli się w głębokim lochu pod grodziskiem.

Był to już drugi pożar osady. Pierwszy zdarzył się ponad sto lat wcześniej, ale nie był tak straszny jak ten ostatni, choć pamiętano i o jego skutkach mówiono z pokolenia na pokolenie.

Po pożarze grodziska i osady starszyzna plemienna zdecydowała, że odbudowa jego byłaby nieopłacalna. Zbyt często niemal każdej burzy, pioruny biły w skalistą górę, skąd ludzie uciekali do niżej położonych zabudowań we wsi.

Strata to była wielka i nie odwracalna. Do zimy postanowiono ustawić nowe chaty nad Bobrem. Opalone i wywrócone drzewa ściągnięto do rzeki i spławiono Złotuchą do wioski. Tu posłużyły do budowy nowych chat i zasobniejszej nowej osady.

Horodyszcze Strupicza z żalem opuszczono na zawsze, a z doliny, gdzie stała osada postanowiono zrobić pole uprawne i siać zboże w tym najwięcej prosa, które teraz było bardzo cenne dla mieszkańców.

Za zielnikiem pobudowano nawet młyn wodny na wzór tego nad Młynówką i postawiono wiele nowych chat. Dalej zbudowano wędzarnię dla ryb i kamienny krąg na ognisko, wokół ławy z żerdzi na przyszłe wiece.

Ksiądz Miech wzniosł nowy krzyż, przed którym dziękowano Bogu za ocalone życie. Modlono się także o pomyślność nowej osady i by ludziom żyło się godnie oraz za wszystkich dotkniętych powodzią i za tych, którzy zginęli.

Nową siedzibę Kmeta wzniesiono przy ujściu Złotuchy, na wysokim cyplu przy rzece, zabezpieczając ją ziemnymi wałami i chrustem. Postawiono nowe gniazdo obserwacyjne na wzniesieniu naprzeciw Jeleniej Skały, gdzie każdego dnia warty sprawowały strażę, obserwując przybywających do miasta wędrowców.

Nowa osada Strupice szybko zyskała na poważnym znaczeniu, po Wzgórzu Krzywoustego była najczęściej odwiedzana przez smerdów z Zamku i nowych przybyszów odwiedzających Zamek i ziemię jeleniogórską.

Sprawa zapasów żywności na zimę stała się pilną koniecznością i stanęła na pierwszym miejscu w osadzie. Postanowiono urządzić polowanie na jelenie, których mnogość w tym terenie była wyjątkowo wielka. Wywrócona przez burzę połać lasu w Trzmielowej Dolinie zwabiła wielką ilość jeleni. Strażnicy z grodziska donosili każdego dnia, że z wysokiej przełęczy przy Widoku, ciągną nad Białą Skałę i na Grzbiet Zachodni całe chmary jeleni z Gór Kaczawskich. Rykowisko już się zaczęło, pogoda poprawiła się. Rano był lekki mróz i białe szrony pokryły trawy.

Po wichurach brak było tu dróg i przejść pod grzbiet, a transport stał się niemożliwy. Zwołano więc i ustalono obowiązek pozyskania większej ilości zwierzyny, aby podreperować budżet osa-

dy. Pozostałe po burzach zboża zebrano, co do kłosa' Teraz należało zdobyć dziczyznę na zimę i jej przetrzymanie. Większość zwierzyny miała być sprzedana nad Bobrem do ław rzeźniczych, a więcce jeleni, skóry i grandle na ozdoby i meble dla rzemieślników.

Polowanie zaplanowano najpierw na duże wartościowe byki, a pod koniec października, później z pędzeniami na pozostałą zwierzynę.

Była pełnia księżyca, kiedy ponad dwudziestu myśliwych obstawilo wywrócony las za Chałupami. Tutaj gęsty ciągnął się aż do szczytu przełęczy. Był dziki i nietknięty ludzką ręką. Ziemowit stał nad bagnem, przy strumyku. Obok były przejścia jeleni, niedźwiedzi i łosi. Wśród natropień znalazł też ślady wilków ścigających sarny. Stanowisko swoje obrał pod złamanym drzewem z wiatrem w twarz. Wzdłuż strumienia leżały powalone drzewa, do których przychodziła dzika zwierzyna. Jelenie zjadały miękkie igły i korę ze szczytów drzew.

Po zmroku jelenie rozryczały się na dobre. Część głosów pochodziła jednak z muszli myśliwych. Przed północą księżyc rozjaśnił białą od szronów łąkę. Róg Ziemowita z brzozonej kory porykiwał już dłuższy czas. Nagle nad strumieniem, jak duch ukazał się byk. Poroże miał wielkie, nie miał już szans na powrót do lasu. Ten wielki byk musiał przywędrować ze Śnieżnych Gór. Miał na łbie wielkie, medalowe trofeum. Został trafiony w grzywiasty kark, był dwudziestakiem. Ziemowit już więcej nie miał szczęścia coś tak pięknego spotkać.

Następnego dnia odstawiono pod Zamek szesnaście jeleni i dwa dziki. Był to niewątpliwy sukces myśliwskiego zastępu Strupicza.

ŁOWY U BOLCZA NA SOKOLCU

Mieszkańcy niewielkich puszczańskich osad nad Bobrem tradycyjnie trudnili się myślistwem i leśnym bartnictwem. Nadbobrzańskie osady pomiędzy Wleniem a Jelenią Górą płaciły Henrykowi Brodatemu daninę w postaci leśnego miodu i skór zwierzęcych.

Źródła historyczne z X i XI wieku podają, że w Dolinie Bobru zamieszkiwało sześć lechickich plemion śląskich. Nazwę Bobru wymienia się od 1005 roku, rzekę Ciekoń – Kamienną od roku 1281, a Łomnicę i Kamienicę od 1254 roku. Pod grzbietem Śnieżnych Gór stały od dawna stare osady i grody obronne. Na Krzyżnej Górze stał gród z czasów księcia Samona z VII i VIII wieku, obok Wojcieszowa gród z V wieku, a w Strupicach z wczesnego średniowiecza.

Przedstawiciele tych grodów zaproszeni zostali na święto myśliwych do książęcego zamku nad Bobrem. Uroczyste polowanie i podsumowanie osiągnięć łowieckich miało odbyć się razem z pomocą dla spalonych Strupic oraz prezentacją zdobytych trofeów myśliwskich. Miała być tam też prezentowana nowa broń, w tym łuki i kusze oraz uprzęże dla koni.

Z dawnych Strupic zaproszono Ziemowita, z Krzyżnej Góry smerdę Samona i Godka z Kozińca. Przybyli też przedstawiciele z Wlenia, Starej Kamienicy, Janowic i Wojcieszowa. Na dziedzińcu Zamku odbyło się uroczyste powitanie i wspólna modlitwa do opiekunów myśliwych św. Eustachego i św. Huberta. Pod murami Zamku, odbyła się próba broni przed łowami na jelenie i dziki oraz sprawności koni i uprzęży.

Rozpoczęto uroczyste łowy wzdłuż Góry Godzisz i Komarzycy oraz na polach i uprawach pod Pakoszowem. Polowanie trwało dwie noce i zdobyto wiele cennych poroży, kapitalnych byków i kilka saren. Tradycyjny pokot i podziękowania za myśliwską wyprawę odbył się pod Zamkiem 3 listopada w św. Eustachego i św. Huberta. Zdobywcom trofeów wręczono puchary pełne piwa.

Na tym przyjęciu burgrabia Bolcze zaprosił Ziemowita i jego łuczników na polowanie w Sokolich Górach. Było to wielkim wyróżnieniem dla Grodziska Strupicza, bo zaistniała też możliwość zdobycia żywności dla spalonej osady.

Wcześniej sądzono, że Ziemowit korzystający z polowań w Kozińcu, w pobliżu Strupic, nie odważy się na tak odległe łowisko w Górach Sokolich. Bolcze po rozmowie z Ziemowitem obiecał wspólne polowanie na dziki na białej stopie. Jak twierdził, chciał pomóc w ulżeniu tragedii związanej z pożarem Grodziska Strupicza.

Zamek Sokolec znajdował się dość daleko, na południowy zachód od Trzcńska, za rzeką Bóbr. Bolcze był bogatym właścicielem dóbr w Górach Sokolich, także ciągnął zyski z kopalni miedzi, ołowiu i srebra w Miedziance. Dbał o lasy i zwierzynę żyjącą w borach Sokolika i Krzyżnej. Także rozbudowywał swój zamek na skale w Bolczowie, stojący na Obronnym Piastowskim Szlaku.

Zaproszenie zostało przyjęte. W drodze powrotnej Bolcze odwiedził spalone Grodzisko Strupicza i był pełen podziwu dla włożonego wysiłku przy wznoszeniu nowej osady.

Zima przyszła dość szybko. W październiku poproszyło śniegiem, ale już w listopadzie drogę do Trzcńska całkowicie zawiąło. Na początku grudnia, w ciepłych bobrowych czapach i kożuchach niedźwiedziej zastęp ruszył z osady nad Bobrem do Sokolca. Szli ze sforą tropiących psów przez Koziniec i Dąbrowicę. W Wojanowie przeprawili się przez Bóbr i udali się w Góry Sokole drogą trudną i wymagającą wiele wysiłku.

Grodzisko Sokolec stało przy Skalnej Rodzinie, pomiędzy Górami Ołowianymi a Karpnikami. Wielki szmat ośnieżonych stoków był własnością Bolcza, teraz radował przybyszów swym po-
wabem i atrakcyjnością.

Na wschód od grodziska stała zaśnieżona puszcza. Grodzisko było niewielkie, obok skał stało parę starych chiżyn pokrytych trzcina-
mi i skórami jeleni i turów. W samym środku osady był warowny
gród Sokolec, a obok duża świetlica, w której paliło się ognisko. Gród był otoczony skałami i sprawiał wrażenie trudno dostępnego.



Spotkali natropienia wilków, saren, jeleni i borsuka.

Po przybyciu Ziemowita miejscowe psy rozszczękały się gło-
śno na nowych przybyszów i trzeba było je uspokoić. Pieski ze
Strupic osadzono w zagrodzie. Łuczników zaproszono do stołów
przy ognisku.

Zarządzono spotkanie z bracią myśliwską, aby omówić szcze-
góły polowania na dziki, których na Sokoliku nie brakowało. Te-

ren górski był jednak wyjątkowo trudny, ze względu na ostre krawędzie i zapadliny skalne oraz rozległe bagniska.

Strażnicy przynieśli nowe informacje o dwu dziczych watahach pod Sokolikiem. Znaleziono też trop pojedynka, który tej nocy przywędrował z Bagien Trzczańskich. Spotkali natropienia wilków, saren, jeleni i borsuka. Wyjście na łowy zaplanowano w nocy przy blasku księżyca.

Po naradzie na rozstawionych stołach podano pieczoną dziczyznę, w pucharkach piwo, w szklanicach miód, wszystko było smaczne i znakomite. Dwoje siwych starców przygrywało na gęślach i grzebieniach. Młodszy się bawili, opowiadali kawały, śpiewali i podskakiwali, wzbudzając zachwyt i sporo śmiechu wśród zebranych.

Świetlica była przyozdobiona figurkami rzeźbionymi z drewna. Stały tu sudeckie ludziki, piastowskie orły, jelenie i dziki. Agata, pani grodu, dbała o to, aby nikomu jadła nie brakowało. Ziemowit nie mógł się nadziwić hojności gospodarzy, choć wiedział o bogatych kopalniach Bolcza, rozmawiał z osobami, które tam pracowały. Wiedział również o kroczącej hucie szkła nad rzeką Ciekon, gdzie wyrabiano puchary do piwa i ozdobne dzbany.

Burgrabia był otwartym dla przybyłych łuczników, pokazał im swoją myśliwską świetlicę udekorowaną wieńcami jeleni, skórami niedźwiedzi i łosi. Pod okapem dachu były zawieszone dzieśiatki medalowych parostków rogaczy, których wielkości i kształty były wyjątkowo piękne. Stały tam wypchane głuszce, cietrzewie i orzeł biały oraz wiekowe łuki i kusze. Na bocznej ścianie wisały sidła i prymitywne żelaza do chwytania zwierząt, wykonane również z brązu, były tam miecze, noże i włócznie oraz dzidy. Ziemowit tym wystrojem był zachwycony i pełen podziwu dla swego sąsiada, jego fantazji i zdolności.

Miejscowy stary Czech Castor - zielarz, lubił polować. Przybył do Bolcza z Ciepłych Źródeł i tak pozostał. Teraz chwytął szaraki na jutrzejszy posiłek, opowiadała Agata.

Na wiecu z myśliwymi, po wychyleniu większej ilości miodu, wzrosło zaufanie i pogłębiły się przyjaźnie wśród łowców. Bolcze zabawnie przypominał o niebezpiecznym na bagnie łowisku, o groźnych odyńcach tam mieszkających, które już wielu odebrały życie. Ujawnił też, że pierwsze polowanie odbędzie się na niezamarzających bagnach nad rzeką Łupią, na południe od osady. Grzęzawisko to, ze względu na kojącą, leczniczą wodę, odwiedzane jest przez stare niedołężne lub ranione odyńce. Przebywają one w niedostępnych rewirach i porzuconych bobrowych żeremiach. Ciepłe trzęsawisko jest pokryte trzcinią i kłocami wyróconych drzew oraz gałęziami i chrustem.

Bolcze ostrzegał, że bagna są zdradliwe i niebezpieczne, chodzić można tylko po kładkach ułożonych przez pachołków, najdalej do mostku na rzece.

Biesiada kończyła się. Do wyjścia pozostało trochę czasu. Jeżeli mi pozwolicie – powiedział Bolcze – to jeszcze wam opowiem o Wiedźmie Sokolicy, która umiała wróżyć i przepowiadać przyszłość. Od dawna mieszkała na Sokolcu. Pochodziła z „Góry Wiedźm” znajdującej się między Chromcem a Kopańcem. Dawniej była strażniczką czasu. W pogodne dni odczytywała godzinę 12 w południe, kiedy słońce stało nad granią groźnej skały Słonecznik. Pod nią w głębokiej grocie mieszkał Duch Gór – Rzepiór-Karkonosz. Grota ta wysłana była srebrem i złotem, a wejście do niej ukryte było pod Wielkim Stawem.

Wiedźma, była to wszystko wiedząca, stara, spracowana kobieta, która swego syna straciła w tych ciepłych bagnach. W czasie potężnej burzy uderzyła w niego błyskawica z czarnego nieba i tam zginął. Od tej pory, każdego dnia, chodziła się modlić pod las nad bagna. Kiedyś stanęła na moście nad rzeką. Nagle zerwała się potężna wichura, porwała ją i rzuciła do wody, a wartki nurt zabrał ją aż pod trzciny. Przez rok słuch po niej zaginął, dopiero znaleźli ją bobrownicy, którzy na tych wodach strzygli bobrze fu-

tra. Odtąd zaczęła się ukazywać po nocy, strasząc ludzi, którzy tam przychodzili i łowili ryby.

Ziemowit uśmiechnął się, wychylił resztę miodowej nalewki i poprosił swoich towarzyszy o przygotowanie się do wyjścia nad bagno. Wyruszone zanim księżyc ukazał się nad Krzyżną Górą. W lesie jeszcze było ciemno. Na jego brzegu rozpalono ognisko, aby się ogrzać. Wówczas Godek zagadnął Ziemowita – wysłuchałeś opowiadania Bolcze o tej wiedźmie. Nie boisz się jej? – on potrząsnął ospale ramionami, jakby mu to było obojętnym.



Na chwilę znów chmura się przesunęła i odsłoniła szuwar. Załamany, z niedowierzaniem i strachem zobaczył wiedźmę Sokolicę ubraną na czarno. Stała przed nim i trzymała jego strzałę.

Zrobiło się już jasno, obstawiono rozlewisko wokół bagna. Ziemowit był najbardziej doświadczonym z łowców, czuł się odpowiedzialnym za swych ludzi. Sam uzbrojony w łuk i kuszę, wolno przy pomocy długiego kija wszedł na drewnianą kładkę. Po jej

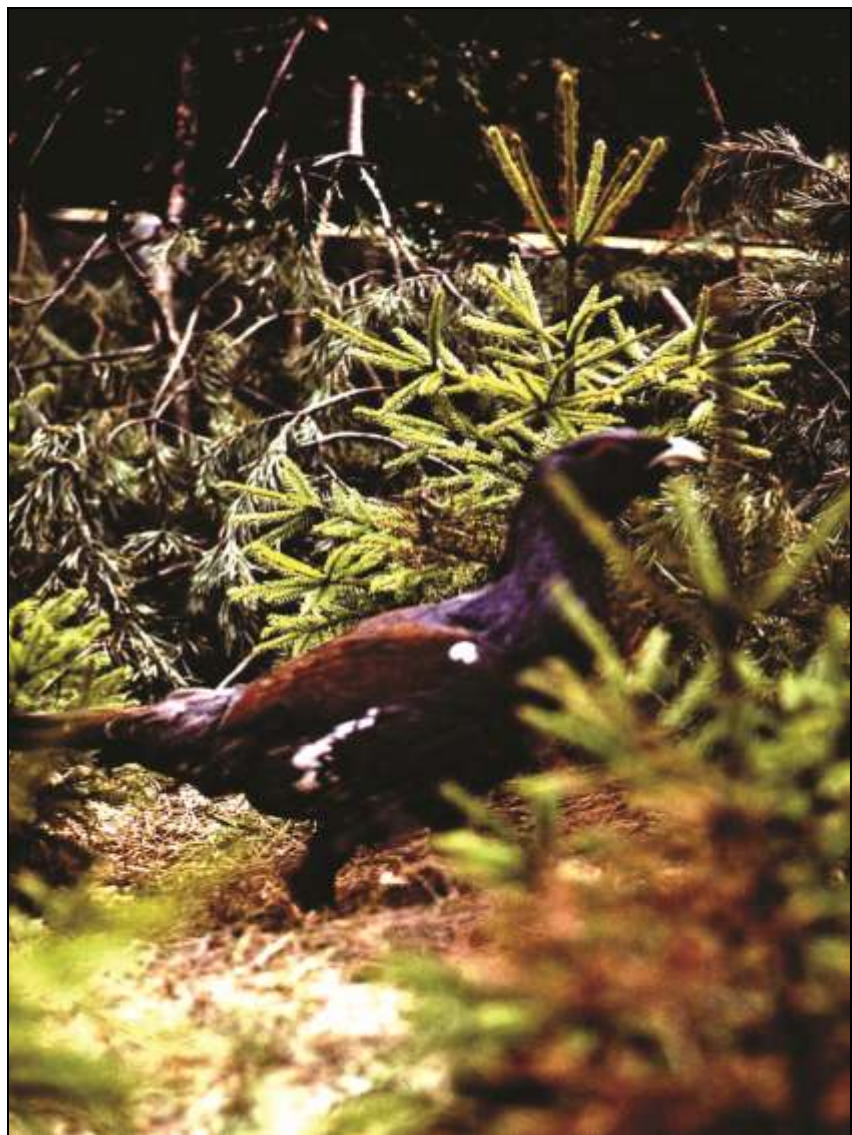
obu bokach kij zapadał się głęboko w grząski muł. Nad bagnem unosił się opar, czasem tak gęsty, że zakrywał całą powierzchnię wody. Czarna chmura odkryła na chwilę bagno i znów zasłoniła tarczę księżyca. Myśliwy przystawał i szedł, znów powoli, nasłuchiwał, wierzył głęboko w spotkanie z odyńcem. Głośny plusk wody towarzyszył mu przez całą drogę. Nim doszedł do mostu zauważył dużego odyńca, który wcale się jego nie bał. Opary i chmury przesłoniły go jednak, wydawało się mu, że widzi go coraz w innym miejscu.

Naraz wyraźnie ujrzał odyńca, który stał przed nim. Ostra strzała świsnęła z jego łuku. Plusk wody powstał ogromny, ale chmury znów zasłoniły całe to wydarzenie.

Doszedł do mostu i czekał chwilę, zadowolony ze swego strzału i prawdopodobnego zdobycia wielkiego dzika. Na chwilę znów chmura się przesunęła i odsłoniła szuwar. Załamany, z niedowierzaniem i strachem zobaczył wiedźmę Sokolicę ubraną na czarno. Stała przed nim i trzymała jego strzałę. Omal nie osunął się do wody, rękami kurczowo chwycił się żerdzi i stracił przytomność. Podniósł go Godek ze swym przyjacielem. Po chwili oprzytomniał, usłyszał ich głos i powoli wróciły mu zmysły i rozum. Nic nie mówił, kiedy wyprowadzono go na skraj lasu, a potem do ogniska. Rankiem pachołkowie znaleźli naprzeciw mostu wielkiego odyńca o wadze ponad trzystu funtów i dwa mniejsze dziki zdobyte przez łuczników.

Po gratulacjach od Bolcze, Ziemowit w chwilę potem zasnął na niedźwiedziej skórze, nie mówiąc nic o spotkaniu z wiedźmą.





Nagle w głębi boru zrodził się jakiś przedziwny dźwięk, podobny do łopotu skrzydeł. Po chwili kreknął głuszc, za nim drugi. Krak powtarzał się na wielkim wzniesieniu. Dotąd cichy las stał się pełen krektania i łopotu skrzydeł.



Na szczycie drzewa widzi rozjaśnionego wschodem słońca czarnego ptaka. Ten zerwał się, usiadł przed nim na niższym świerku i zakłapał w kierunku swej głuszycy, którą słyszeć było z boku.



POD SZCZYTAMI GÓR SOKOLICH

Pachołkowie powrócili z puszczy przywożąc dobre wieści z polany pod Sokolikiem. Z polecenia burgrabiego sprawdzili natropienia i przejścia dzików do puszczy z Bagien Trzcińskich i zza Bobru. Od wielu już dni tędy przechodziły tylko chmary jeleni, napotykały hałaśliwe watahy dzików i stąd wracały i tak stało się i tym razem. Pachołkowie byli mile zaskoczeni tym zdarzeniem.

Lasy pod skałami rosły gęste i niedostępne, a kryjówki w nich były wyśmienite. Czarna zwierzyna miała tu beztróski spokój, ale długo jej tu nie widziano.

Pachołek Jarzębiec odkrył na śniegu dwa duże odciski najprawdopodobniej rapci dzików, prowadzące do Sokolej Polany. Tam przed wielu laty huragany położyły lasy, teraz rosła kilkuletnia szczotka ze świerków, a dziki chroniąc się przed śniegiem zaszywały się w jej gęstwinach.

Burgrabia zarządził polowanie, w którym nie miał wziąć udziału Ziemowit, bo sam z niego zrezygnował, ze względu na rzekomą chorobę, której nabawił się poprzedniego dnia nad bagnami. Żwawe koniki zaprzężono do pary sań, wnętrza ich wyłożono słomą i okryto niedźwiedzimi skórami. W pierwszych jechała naganka, a w drugich zasiedli łucznicy.

Mróż trzymał niewielki, biała czapa śniegów i szronów wisiała na gałęziach przy biegnącej pod górę drodze. Słońce już weszło zza Krzyżnej Góry i oświetliło wielkie dęby rosnące przed Sokolcem, rzucając długie cienie swych gałęzi aż pod samą osadę.

Konie pędziły pod górę, szybko nastał las, a wysokie drzewa znów zacieniły sanie, sprawnie omijały wielkie kamienie przy drodze i parły do przodu. Jechały jednak coraz wolniej. Gruba

pokrywa śniegu utrudniała znacznie tę drogę. Za zakrętem śniegu było znacznie mniej, był zdmuchnięty to i podróż stała się mniej męcząca i sprawniejsza.

Na Sokolej Polanie zobaczyli gajówkę i dwie chaty obłożone drewnem, które co roku przygotowywano dla burgrabiego Bolcze, jako zapasy dla wędzarni i palenisk w grodzisku.

Naganka pojechała z psiarnią dalej na północny-zachód, aby od rzeki popędzić dziki. Łucznicy szli powoli wysokim borem, po śladach Godka. Nad nimi ugiwały się gałęzie obsypane gęstym śniegiem. Cisza tu panowała zupełna. Po chwili weszli na szczyt wzniesienia, a przed nimi stał zagajnik okryty białym puchem. Godek ustawił ścianę łuczników przy wysokim lesie, przy górskim strumyku i polanie Sokolej.

Gęsty młodnik stał przed nimi otworem. Natropień nie było, to i dziki z niego nie wyszły - mówił, byli szczęśliwi. Wydawało się, że był on wymarzoną miejscą dla schronienia się zwierzyny. Teraz usłyszeli słowa - proszę nie strzelać do innej zwierzyny, tylko do dzików.

Po pół godzinie odezwały się psy. Wysoki i szybko przesuwający się głos oznaczał kroczenie zwierzyny. Po paru minutach ponowił się inny, grubszy, wskazujący na grubego dzika. Naraz przed nimi w młodniku zagotowało się od pisków i psich skowytów. W popłochu przez linię przeskakiwały sarny, wielki lisiera przeskoczył przez strumyk i zginął w lesie, później zając w wielkich susach pognął po lodzie.

Gon posuwał się ukosem w stronę lasu. Coraz wybuchały psie wrzawy i naraz powstawała zupełna cisza. Po chwili zagrał pies grubym głosem, powtórzył go cichym kilkakrotnym szczeknięciem w jednym miejscu. Wskazywało to na obecność wielkiego dzika, który miał gdzieś, w głębokim poważaniu takiego, małego kundla.

Nagle dzik, jak czarna kula, wypadł z białej ściany lasu. Drgające od nerwów strzały świsnęły głośno. W tej ciszy zimowej scenerii posypały się dość gęsto, a ich świst był przerażający. Psy,

znając skutki śmiertelnego świstu strzał, pozostały w młodniku na dłużej, nie chcąc narazić swego życia.

Odyniec drgnął jak uderzony obuchem w łeb i zarył gwizdem w śniegu. Trzy długie strzały wystawały z jego kożucha. Gon zamilkł, aby po chwili odbić się głośnieym echem od skalnego urwiska. Wyskoczyły też psy, które szybko przywołano i zapięto do smyczy.



Przed nimi leżał olbrzymi dzik odyniec, jakiego tu pod Sokolikiem i w najbliższej okolicy jeszcze nie widziano. Spokojne jego zachowanie ośmieliło najbliższego strzelca do podejścia do niego, bez zachowania ostrożności. Pomimo, że dzik leżał i nie był groźny, myśliwy zbliżył się do niego na parę kroków.

Naraz dzik z wielką furią zaatakował go, rozcinając mu głęboko pośladki i wepchnął pod gęsto obsypane śniegiem drzewo. Błyskawicznie zaatakowany, przerażony łucznik, byłby jeszcze bardziej poraniony, gdyby nie koledzy. Jeden z nich z bliskiej odległości zakoń-

czył tę walkę celnym strzałem, jemu jednak zwierz też podarł sukmanę. Ranionego strzelca przywieziono konno do grodu, gdzie przez kilka dni miejscowa znachorka ziołami goiła mu rany.

W tym polowaniu padł jeszcze jeden mniejszy dzik, do którego już podchodzono ostrożnie. Oba przywieziono saniami pod wędzarnię, oba też wieczorem wisiały nad dymami ogniska i roznosiły wokół woń smacznej pieczeni.

*

Ziemowit oglądając wielkiego odyńca, zdobytego na Polanie Sokolej, nie mógł sobie darować nieobecności na tym polowaniu. Dzień był mroźny, ale słoneczny, widok na zaśnieżone Rudawy Janowickie i na kopiaste białe pagórki był imponujący.

Jastrzębiec zdradził mu, że pod skalną górą leży jelen, którego wilki wpędziły na skałę i stamtąd spadł. Tydzień wcześniej był przy padlinie, ale tuszę podziobały tylko orły i sokoły. Wczoraj w czasie polowania mówił - odkryłem przejście pary wilków. Szły od strony padliny ku rzece, chętnie bym tam na nie zasiadł. Uśmiechnął się do Ziemowita. Ten się długo nie namyślał i nie trzeba było go przekonywać, zgodził się na wspólną wyprawę. Wprawdzie już pełnia księżyca minęła, to na białym śniegu widoczność i tak będzie wystarczająco dobra, mówił.

Dziczyzna na kolację była wyśmienita, rozgrzała ich też miodowa nalewka. Byli pełni nadziei na spotkanie się z wilkami. O północy niebo było granatowe, usłane milionami połyskujących gwiazdek nad Sokolikiem i Krzyżną Górą. Obaj w ciepłych kożuchach i futrzanych czapach oraz łapawicach sunęli saniami pod skalistą górę. Mróz dalej trzymał, drobne iskierki lodu spadały z oszronionych drzew i pobłyskiwały ognikami w światłach gwiazd.

Jastrzębiec podjechał saniami pod rozłożysty dąb nie zatrzymując ich tak, że Ziemowit sprytnie przeskoczył z sań na konar. Te pojechały dalej do gajówki i tam pozostały. On wybrał najwygodniejsze miejsce przy pniu, otulił się kożuchem i pozostał bez ruchu. Tuszę jelenia widział dokładnie. Leżała na wprost dębu i bacznie jej pilnował.

Jastrzębiec pieszo powędrował na przesmyk i zasiadł pod ośnieżonym świerkiem. Pewien był spotkania z wilkami idącymi do padliny lub wracającymi od niej nad rzekę. Północ już dawno minęła, mróz szczypał w nos. Okrył się szczelnie i obserwował przesmyk. Gdzieś z dala odezwała się sowa, a bór tu pachniał żywicą i młodymi świerkami. Pod skałą stało kilka dębów, w nich odezwał się puszczyk. Jego niesamowity głos hukania odbijał się echem o skalną ścianę. Znów w kniei zapanowała cisza, pełna majestatu i powagi. Pod skałami musiało dziać się coś ważnego.

Ziemowit dobrze już przemarzł, kiedy jak duch na polanie pojawił się mikita i cichutko zmierzał do tuszy jelenia. Raz rwał kawałki mięsa i ogryzał kości, a raz kładł się przy niej na śniegu. Do uszu jego dochodził chrzęst rwanej padliny, a czasem trzasnęła kość w mocnych szczękach lisa. Uczta ta trwała dość długo. Naraz lisiura zaszczekał i gwałtownie prysnął w las. Ziemowit teraz żałował, że nie posłał mu strzały, bo szanse na przyjscie wilków były niewielkie. A może dobrze się stało, pomyślał, że nie strzelałem do lisa, narobiłbym wiele hałasu. Światło księżyca trochę osłabło, a w powietrzu zaczęły wirować płatki śniegu.

Po odejściu mikity, na polanie w kierunku padliny sznurował wilk. Szedł do przynęty na sztych. Ziemowit nie wiedział, co robić, krzyknąć czy zagwizdać. W takiej pozycji nawet najlepszy strzelec nie miałby szansy, aby go nie trafić. Jeśli tylko mnie wy-czuje, myślał Ziemowit, to błyskawiczne mignie w las, a potem żadna strzała go nie dogoni.

Dystans się zmniejszał, można było próbować strzelać, ale czy było warto. Naraz zobaczył drugiego wilka, który doganiał

pierwszego, a była nim wadera. Basior zatrzymał się koło sosenki o parę metrów za nią, niedaleko od padliny. Świsnęła strzała i basior się zwinął, później druga, też go trafiła. Wadera w popłochu oddaliła się. Jego strzał do wilczycy okazał się nieskuteczny. Po dłuższej chwili pod dąb wrócił Jastrzębiec niosąc na kiju wilczycę. Poszli obaj pod skałę do padliny. Ziemowit podniósł wielkiego basiora. Wracali do osady zmarznięci, niewyspani, ale szczęśliwi i zadowoleni. Ta noc przyniosła im upragnione szczęście.



GROŹNY NIEDŹWIEDŹ Z KOZIŃCA

Po śmierci Bernarda Lwóweckiego, w roku 1296, rządy w Kotlinie Jeleniogórskiej objął mądry i dobry władca Bolesław lub Bolko I, zwany Surowym. Był on twórcą dynastii, która przez 100 lat władała dobrami świdnicko-jaworskimi. Stworzył krainę bogatą łączącą siłę oręża ze zręczną dyplomacją i umiejętnością zachowania niezależności od swych sąsiadów. Jednak dopiero Bolko II, sekretarz Kazimierza Wielkiego (1326-1368) pobudował dwanaście zamków obronnych w dolinie Bobru, postawił też osady oraz połączył je drogami.

*

Wcześniej puszcza nad rzeką stała jeszcze pierwotna i dzika. Ze Strupic do Jeleniej Skały i grodu Kozińca za Radomierką przechodziło się po wielkich, dębowych kłodach i kamieniach. Gród ten stał obok kamiennej iglicy i przed ponad czterystu metrową górą, obrośniętą gęstym lasem.

Straże ze Strupic, Kozińca i na Jeleniej Skale były w stałym kontakcie i w pełni kontrolowały wąskie przejście nad Bobrem do zamku Krzywoustego i Jeleniej Góry. Za ich pozwoleniem towary wędrowały w obu kierunkach. Prowadziła tędy droga handlowa ze Strzegomia, Janowic i innych wschodnich miejscowości. Od Kozińca gęste lasy ciągnęły się aż do Wojanowa, jedynie za górą nad Bobrem stała niewielka leśna osada, zwana Dąbrowicą.

Mieszkańcy nowej osady Strupice, po wielkim pożarze grodu Strupicza, bardzo zazdrosnym okiem spoglądali na działalność swych sąsiadów, którym żywności nie brakowało. Zbierali nad rzeką żyto, jęczmień i proso, hodowali owce, kozy, krowy i ko-

nie, polowali na sarny, jelenie, dziki i bobry oraz zdobywali wydry i łowili ryby.

Młody Sambor przebywał na przyjęciu weselnym u sąsiadów, gdzie powszechnie mówiło się o kłopotach, które wyrządzał im niedźwiedź. Jesienią zagryzł kilka owiec, a nie tak dawno młodego konia, mówił Godko. Sambor odczuł, że te słowa poniekąd były kierowane do niego, bo ich Bartek, stary niedźwiedź z grodziska, często przychodził do Kozinca i jego właśnie o to posądzano.

Bartek żył w grodzisku i osadzie Strupice od wielu lat i nikomu krzywdy nie wyrządził, mówił zaproszony gość. Obiecał jednak, że przyjrzy mu się bliżej. Niedźwiedź lubił spać w ciepłym słońcu przy wędzarni, gdzie zawsze otrzymywał kość do ogryzania. Często też dostawał ryby i pokątne smakołyki od dobrych sąsiadów. Nikomu jednak dotąd, krzywdy nie zrobił, nie prowokował do waśni, owce przy nim chodziły po pastwisku bez szkód. Psy jednak wołały trzymać się z dala od niego, bo kilka razy oberwały już ciężką łapą

Strażnicy z Jeleniej Skąły jednak widzieli go jak buszował po ich lesie, a był też niekiedy częstym gościem, bo tam spotykał się z niedźwiedzicą, o czym wiedziała żona Godka.

Strupicz odebrał z kuźnicy w Bobrowicach nowe groty żelazne do strzał i udał się do Godka na Koziniec. Tam akurat wydarzyła się nowa tragedia. Niedźwiedź zagryzł nad ranem kilka owiec. Teraz już byli pewni, że nie uczynił tego Bartek, bo pastuch spotkał się ze starym niedźwiedziem o siwym, kudłatym łbie i gdyby konno nie uciekł, to by go zaatakował. Zwołano starszyznę z grodu i ze Strupic oraz Zamku Krzywoustego. Godek opowiedział o stratach, jakie w grodzisku niedźwiedź poczynił i ostatnim, zuchwałym napadzie na stado jego owiec. Ludzie bali się wychodzić z chat, a wieczorami zamykali się w nich i nie opuszczali do rana.

Obławę zorganizowano w końcu października, kiedy pierwszy śnieg pokrył góry. Wówczas to Godek wysłał strażę, które ustaliły, że niedźwiedź ten przyszedł z Gór Sokolich. Prowadził ze sobą



Sambor z Godkiem w ostatniej chwili doskoczyli i celnym pchnięciem dzidy położyli groźnego rabusia.

niedźwiedzicę, która mu pomagała, jednak na owieczki napadał sam. Jego towarzyszka tylko stała na straży. Zauważono jej obecność w pobliskim lesie, jak oczekiwała na swego groźnego kompana.

Stanowiska łuczników ustawiono przy padłej owieczce pod lasem. Zajęli je wzdłuż strumienia płynącego za nimi. Pokrywała go już cienka powłoka lodu i białe płaty śniegu. Naganka pachółków Strupicza i Godka wcześniej rano wyruszyła spod Wojanowa. Szli poprzez mokradła i stawy rybackie wzdłuż Bobru, zbliżali się do Kozińca.

Niedźwiedź cenił swe futro i przez rzekę nie przeszedł. Jednak dość szybko zorientował się w sytuacji i ukrył na wielkim dębie stojącym nad Bobrem. Głośnie stukanie po drzewach naganek powodowało taki straszny hałas, że w końcu z niego zeskoczył.

Obławnicy byli już blisko. Nagle ruszyli z wielkim krzykiem i hałasem. Po dłuższej chwili oczekiwania Sambor ujrzał wychodzącego z leśnych gąszczy wielkiego niedźwiedzia. Odczekał aż miś zbliżył się na stosowną odległość i strzala głośnie świsnęła w powietrzu. Ugodzony niedźwiedź nagle przystanął, rozwścieczony bólem chwycił najbliższą brzoźkę i ze złości zaczął ją łamać. Widząc to, łucznik z obstawy Sambora zbliżył się na odległość pewnego strzału z łuku. Jego strzala jednak nie trafiła niedźwiedzia. Jej świst zwrócił uwagę groźnej bestii, pozostawił złamane drzewo i rzucił się na niefortunnego strzelca, który ruszył do ucieczki. Niedźwiedź pobiegł za nim, oberwał mu łapami boki kożucha, podarł sukmanę i poranił głowę. Drogę ucieczki przegradzał wspomniany strumień Radomierki, do którego z głośnym pluskiem wpadł myśliwy. Miś nie lubił wody. Przed rzeką zatrzymał się i ruszył do ucieczki wzdłuż stanowisk myśliwych.

Teraz posypał się grad ostrych strzał. Trafiony jeszcze kilkakrotnie, pobiegł na zabiegającego mu drogę ostatniego myśliwego. Rzucił się na niego z taką furią i zaatakował, groźnie rycząc. Stał na tylnych łapach. Łucznik nie powalił niedźwiedzia. Ten dopadł go, wepchnął pod siebie i począł gryźć. Ratując się, myśli-

wy nakrył głowę ręką, zwierzę odgryzło mu ją, a drugą ciężko pokaleczyło. Sambor z Godkiem w ostatniej chwili doskoczyli i celnym pchnięciem dzidy położyli groźnego rabusia.

Spod nieżywego już niedźwiedzia wyciągnięto pechowego łucznika. Był nieprzytomny i obolały. Tak niefortunnie zakończyły się łowy na Kozieńcu. Łucznik jeszcze długo leczył swe rany w Domu Opieki pod Zamkiem.

Zdarzenie to głośnym echem rozeszło się po okolicy i było ostrzeżeniem dla wielu wędrowców, przebywających w puszczy zielarzy i myśliwych oraz zbieraczy skał i kruszców.



Sowa goni zająca po białej stopie.

W MYŚLIWSKIM DWORKU POD WLENIEM

Stary Popiel siedział w wietnicy pod wielkim dębem rosnącym nad Bobrem. Licznej gawiedzi mówił o swym dziadku, który opowiadał mu legendy o dawnych dziejach lechickiego rodu. Dawniej – mówił - za panowania Bolesława Chrobrego najbogatszą osadą rybacką stojącą nad Bobrem było Brzozowo (w herbie ma brzozę). Tędy wówczas prowadził jeden z burztynowych szlaków znad morza przez Partynice pod Wrocławiem, przez Śnieżne Góry do Wiednia. i dalej do Akwilei nad Adriatykiem Kupcy i handlarze wędrowali nim w obie strony. Inny szlak prowadził do Wiednia przez Kłodzko. Wielu z nich zachwyliło się zdobytym w Śnieżnych Górach srebrem i złotem oraz szlachetnymi kamieniami i pozostawiało tu na stałe.

W kasztelani wleńskiej, u małżonki Henryka Brodatego - Jadwigi widywano wielki żółty kamień wielkości pięści. Prawdopodobnie przywiozła go z Kłodzka. Ozdoby z tego żółtego złota, upiększające poroża jeleni i saren, wisiorki, naszyjniki i krzyżyki chętnie były wykupowane przez zakonników sukienników i innych rzemieślników osiedlonych w pobliskim Lwówku. Odtąd rozkwitał coraz bardziej handel i osadnictwo u stóp zamku Lenno i skromna osada Brzozowo zmieniła swą nazwę na Wleń.

W tym czasie na skraju puszczy ojcowiznę swą miał książę Henryk IV zwany Probussem. Jego dworek myśliwski stojący w puszczy, był stale pełen znakomitych gości i przyjaciół, łowców znad Bobru i z Czech. Była tu niegdyś kraina Lechitów z mnogością różnego zwierz. Mieszkały tury, żubry, niedźwiedzie,



Naprzeciwko Strupic na kilku wyspach i wiszarach Bobru można było spostrzec gniazda czapli, kormoranów, a nawet bocianów. Ciekawskie czaple fruwały nad osadą, wypatrując smacznych ryb przy wędzarni.



Natura przemawiała potężnym głosem żubrów, jeleni, ślepiami wilków i żbików, zielonymi oczami rysi, szumem świerków i sosen.



Bartek był młodym misiem. Znalaziono go pod Barańcem w czasie polowania na rogacze.

łośie, rysie, sobole i bobry. Oto potężni niegdyś władcy nieogarniętej oczami puszczy, górskich bezdroży, moczarów i skalnych zapadlisk. Bór ten grał wówczas studziwęcym akordem życia. Natura zaś przemawiała potężnym głosem żubrów, jeleni, ślepiami wilków i żbików, zielonymi oczami rysi, szumem świerków i sosen. Śpiewała hymn, na cześć nieustraszonych i wielkich łowców znad Bobru. Po latach głośny stuk i uderzenia toporów, rozrywały jednolite przestrzenie leśne. Rwano wówczas na strzępy zielony płaszcz Sudeckiej Kniei, dotąd jedynie pokrojonej Bobrem i Kamienną i leśnymi strumieniami. Znikały wielkie lasy, a z nimi ich chluba i ozdoba gór oraz zwierzyna dawniej mieszkająca u podnóża śnieżnej grani.

Przy okazji łowów bawiono się wyśmienicie i beztrósco. Wiele czasu łowcy spędzali przy dobrej dziczyźnie i znakomitej puszczańskej, miodowej nalewce. Polowali oni na niedźwiedzie, łośie, rysie, jelenie i dziki, rzadziej już na tury i żubry.



Łucznicy zapraszani z Jeleniej Góry i grodów nad Bobrem, wykazywali się kunsztem swej zdolności oraz ozdobą zbroi i zdobywaniem nieprzeciętnych trofeów.

Nigdzie indziej na zachodnich krańcach naszej ojczyzny, nie było można spotkać tak bogatego stanu zwierzyny łownej, jak w dotąd nie tkniętej Puszczy Sudeckiej. Za Bobrem stała niedostępna i straszna kraina, dzika i pierwotna, pełna wilków i rozbójników, przebywanie w niej łączyło się z cudem przetrwania. Wiekowe lasy chowały się w gęstych chmurach i oparach, a najczęściej wśród zdradliwych wielkich skał. Zimą były zasypywane śniegami, a latem krainę tę zatapiała wielka ilość wody i straszyla wszystkich, którzy próbowali na nią wstąpić. Z czeskiej strony, wchodzili w nią zbieracze leśnych ziół, uzbrojeni wojowie i rozbójnicy, siejąc postrach i niepokój wewnątrz puszczy.

Chcąc mieć spokój na granicy, Bolko II wzdłuż Bobru rozpoczął budowę ogromnej ilości grodów obronnych dla zatrzymania tych niebezpiecznych praktyk.

We Wleniu z bazaltowego wzgórza roztaczał się rozległy widok na dolinę Bobru, Gór Kaczawskich i Gór Śnieżnych. Wśród starych bardzo grubych dębów rósł czosnek niedźwiedzi, dalej liczne graby, klony i buki. Ponad dolinę wznosił się bazaltowy stożek wulkaniczny Ostrzycy, a jego gołoborze porastały wielkie zielone liście paproci. Ziemię wokół starego zamku Lenna zamieszkiwały plemiona słowiańskie Bobrzan, do których należała też Kotlina Jeleniogórska i północne stoki Gór Śnieżnych.

Za Bobrem we Wleniu rozpoczęto wyrąb drzew, za toporami przywędrowały chmary jeleni, które korzystały ze smacznych odrostów ze szczytów drzew. Za nimi przybyły zgraje groźnych wilków. Na bazaltowych skałach, wśród liści paproci zamieszkały liczne watahy dzików. Tak też i łowy bywały tu obfite. Książę Henryk był znawcą zwierzyny, znał dobrze puszcę, jej zwyczaje i przesmyki, którymi ona uczęszczała. Przez siebie organizowane polowania, były najbardziej okazałymi w Sudetach. Stąd oprawa ich bywała również zasobna i wspaniała, pełna uroku dzikiej przyrody dla przybywających tu gości.

Kilka lat wcześniej drwale, przybyli ze Lwówka, wyrabali klin drzew w lesie na zboczu Zimnej Skały nad Modrzewką. Wichury fenowe szalejące każdej wiosny, wtłoczyły w niego wielkie masy powietrza i wyróciły lasy na całym zachodnim zboczu. Wiosną wykroty zazieleniły się odrostami i zamieszkały w nich cietrzewie.

Na Zamku w Jeleniej Górze otrzymano informację od księcia Henryka Probusa, że na rozległym leśnym uroczysku, zarosłym samosiewami sosny, brzozy i świerka, tokują duże cietrzewie. Pilnie zorganizowano wyprawę myśliwską. Agnieszka jechała z mężem, ze Strupic młody Popiel z kolegą z Sokolca. Pogoda była wspaniała, czyste wiosenne niebo i daleko widoczne pasmo gór, wróżyły niezmienną pogodę. Do myśliwskiego dworku wybrali się konno wczesnym rankiem, tak, aby na obiad byli już na miejscu. Pod wieczór powędrowali do lasu i wysłuchali toków grających kogutów. Było to wspaniałą zachętą, a koncert śpiewaków zapamiętano na długo. Następnego dnia, grubo po północy, wyruszyli ponownie do lasu. Gajowy księcia zalecił łucznikom ostrożność, aby jeden drugiego nie poranił. Młoda Agnieszka poszła razem z mężem, inni powędrowali jak najdalej w wyznaczone zasiadki.

Las przebudził się złowrogim głosem puchacza, który powiadamiał o końcu jego polowania. Potem cichutko odezwał się młody kogut i las rozbrzmiał głosami ptaków. Naraz nad głowami przemknął czarny cietrzew i z głośnym łopotem zapadł na hali. Po chwili ciszy zaczął grać. Było to nieopodał Agnieszki, ona jednak nie mogła doczekać się brzasku, dygotała jak w febrze. Nijak nie umiała wypatrzyć ptaka, a widziała jedynie ciemną plamę, może nawet pień? Nie był to jednak ptak, miał białą plamę piór pod ogonem. Naraz zagrał, wykonał wszystkie przypisane zwroty pieśni i zaczął czuszykać. Pierwszy, drugi duży skok i był już blisko, nie było co czekać. Świst strzały przerwał idealną poranną ciszę i odbił się głośnym echem od ściany stojącego wyżej wzniesienia.

Agnieszka podniosła ptaka i pochłonięła ją żądza łowiecka. Ruszyła pod następnego grajka. Na wykrocie, wśród przewróconych drzew grało jak w ulu. Z każdej niemal strony dochodził bełkot cietrzewi, przerywany czuszykaniem. Wydawało się, że wśród porostów, wszędzie grały koguty. Szła na bełkot i spłoszyła ptaka.

Słońce już weszło, niebo było bez chmurki, wiatru ani krzty, cudny wiosenny poranek. Popiel zaczął podchodzić koguta w niskich sosenkach, to samo czynił jego przyjaciel. Najpierw w pochyleniu, później czołganiem zmierzali pod grające ptaki. Jeden strzał, później drugi, kogut poderwał się i ciągnął ciężko do przyległego lasu. Inny złamał się w locie i opadł w stos gałęzi.

Trzasnęła pod nogami gałązka, wystartował nowy kogut, posypały się strzały. Kolega Popiela padł za świerkiem i rozległ się jego głośny krzyk. Łucznika trafiła któraś ze strzał. Przerwano polowanie, wszyscy zebrali się nad pechowcem. Na wrzosach leżał łucznik z Sokolca twarzą do ziemi. W jego ramieniu tkwiła groźna strzała.

Po rozebraniu go z kozucha zobaczyli, że niewielka krwawiąca rana znaczyła jego ramię. Agnieszka odważnie ściągnęła swą koszulę i określiła rannego, a opatrunek był dostateczny. Po chwili strapiona przeprosiła za postrzelenie przyjaciela, kiedy ten biegł do koguta. Wzięto łucznika pod ramię i poprowadzono do myśliwskiego dworku, gdzie Agnieszka opiekowała się nim troskliwie aż do powrotu do Zamku. On dzięki niej szybko wyzdrowiał.



W LEŚNEJ ŚWIĄTYNI NA ROZDROŻU IZERSKIM

Dziadoszanie byli dobrymi myśliwymi w Zamku Krzywoustego. Wiele razy zdobywali medalowe głuszce na stokach Sokolika, za nie otrzymywali wiele nagród i wyróżnień, w tej trudnej sztuce polowania na porannych tokach. Siemomysł z Samborem oraz Dziadoszanie, po otrzymaniu informacji z myśliwskiego domku o licznych wiosennych tokach głuszców na Przełęczy Izerskiej, skorzystali z niej skwapliwie i wyruszyli na spotkanie z czarnymi trubadurami.

Za Kwisą wówczas występowała wielka ilość tych ptaków, co świadczyło o bardzo starych lasach, nieruszonych ręką ludzką. Przecinania ich głuszce nie tolerowały i opuszczały takie miejsca na zawsze.

Dawniej na Rozdrożu Izerskim pozyskiwano rekordowe i najpiękniejsze okazy tych ptaków w Puszczy Sudeckiej. W tym celu, pod Kamienicką Górą wybudowano myśliwski dworek, który ozdobiono wieńcami jeleni i parostkami sarnich kozłów. Na ścianach rozwieszono skóry niedźwiedzi, wilków i rysi, a pod sufitem wisiały tokujące głuszce, które wśród łowców robiły niesamowite wrażenie. Była to jedyna chata w puszczy, w której można było bezpiecznie nocować, wysuszyć się i coś ugotować do zjedzenia.

Tegoroczne Święta Wielkiej Nocy, spędzono jeszcze na Zamku przygotowując się do wyprawy. Stopniały już śniegi, a na pogórzcu Gór Śnieżnych wiosna powróciła w pełni i zrobiło się ciepło. Wówczas czterej łucznicy wyruszyli konno, sobie znaną drogą, na toki głuszcowe. Była ona trudna i mozolna. Prowadziła poprzez dawno powstałe osady nad potokami rzek, przez Chrońmiec, Kopaniec i Starą Kamienicę, wśród gęstych borów.

Sambor wyprawę prowadził z wielkim znawstwem i rozważą. Jechali najczęściej wzdłuż koryt rzek. Śpiewało niebo i lasy, a nad nimi często w ciepłym poranku świst słońce z niebywałą szybkością przecinał powietrze. Szli stale twarzami ku słońcu, po bagiennych roztopach i skalnych wertepach zasłanych wykrotami. Do krainy głuszców mieli jeszcze sporo drogi, a tymczasem cieszyła ich wiosna ze wspaniałą przyrodą, która była tu niesamowicie piękna i powabna.

Mysłowski dworek stał na warstwicy Rozdroża Izerskiego, przy Kamienisku za Czarnym Potokiem. Za nim ze wschodu na zachód ciągnęło się tu grząskie dorzecze Pleśnej, a na południu przed nim wznosił się Grzbiet Wysokogórski.

Rozdroże Izerskie przyjęło ich z całą okazałością. Mogli się ogrzać, wysuszyć i posilić, a co najważniejsze trochę odpocząć po trudzie górskiej wspinaczki i niewygodnej drodze.

Pod wieczór Siemomysł ze starszym Dziadoszem pozostawili konie i poszli na podsłuchy. Trudna leśna droga pięła się pod górę i była mokra, a wśród drzew błotnista do kolan. Wreszcie lasy zgęstniały i mogli odpocząć, bo ich zmęczenie sięgało zenitu. Siemomysł stanął pod ugiętym drzewem. Wieczór był cudowny, cichy i ciepły, a niebo nad nimi już poróżowiło. Sambor zasiadł dalej, przy wywróconym konarze, z widokiem na ciemną ścianę wysokich świerków. W tym pierwotnym lesie, siedzieli z dala od świata, zadowoleni i szczęśliwi, cisi i sam na sam z przyrodą.

Nagle w głębi boru zrodził się jakiś przedziwny dźwięk, podobny do łopotu skrzydeł. Po chwili kreknął głuszec, za nim drugi. Krak powtarzał się na wielkim wzniesieniu. Odtąd cichy las stał się pełen krektania i łopotu skrzydeł. Siemomysłowi serce skakało jak szalone. Słyszał jednego, drugiego, potem dalszego śpiewaka. Na pewno głuszców przed nim było sześć, a dalej wiele więcej.

Przed nim na szczycie świerka ukazała się czarna sylwetka ptaka. Wyraźny jej kontur rysował się na tle przyciemnionego

nieba. Łucznik podszedł bliżej, nagle niebo pociemniało, pogoda się w górze popsuła i zaczęła się mokra śnieżycza.



Ostatnie resztki nadziei na wypatrzenie głuszca, gdzie pozostanie na noc, szybko prysnęły. Siemomysł zaznaczył pień pochylonego drzewa i zapamiętał oddalony, strzelisty świerk, na którym grał głuszc.

Po chwili przyszedł Sambor. Powiedział, że również ma upatrzonego głuszca. Obaj ostrożnie zeszli ze stoku. Sambor nabrał do siebie zaufania i mówił – miałem ptaka na odległość 100 kroków i on tam pozostał. Jeżeli to nie były zapady, a tylko głuszce kręciły się po lesie, to jutrzejszy poranek będzie niepewny. Siemomysł klepnął przyjaciela po ramieniu i powiedział – bądź spokojny, to były zapady, a raniem poprobujemy celności naszych strzał.

Wstali wcześniej. Jeszcze zaspani szli pod górę. Było zupełnie ciemno, tylko spokojny wiaterek muskał po twarzach. Szli ochoczo, Siemomysł przed oczami miał tylko pochylone drzewo i stale o nim myślał. Naraz rozległo się trzepotanie skrzydeł. Wcześniej zbudzony ptak odleciał.

Wreszcie stanęli pod tym samym pochylonym drzewem. Siemomysł zmęczony obsunął się na konar, uważając, aby go nie stuknąć. Przyjaciel po cichu odchodzi, chwilę jeszcze słyszy oddalającego się towarzysza.

Znów załopotało, potem nastąpiła zupełna cisza. Tej nocy nie spałem, myśli Siemomysł, może mam przywidzenie. Nie, nie, na szczycie świerka zobaczył rozjaśnionego wschodem słońca czarnego ptaka. Zrobiło mu się gorąco, był mokry od potu, nim wstał świt. Natężył słuch. Bardzo niewyraźnie usłyszał, że ptak gra. Dochodziły do niego urywki jego pieśni. Po kilku krokach usłyszał szlifowanie, a potem całą jego pieśń. Przed nim leżała kupa opadłych gałęzi, pot zalewa mu twarz, a głuszcę grał. Czuł się jak zahipnotyzowany, jednak coś pchało go do przodu. Był pod czarem jego pieśni.

Nagle głuszcę zamilkł. Dopiero po chwili zaczęło się klekotanie, najpierw powolne, a potem coraz szybsze. Siemomysł podskoczył jeszcze bliżej. Po tej pieśni ptak urwał, a niebo już zarumieniło się nad nim. Znów zerwał się i usiadł przed nim na niższym świerku i zakłapał w kierunku swej głuszycy, którą słyszeć było z boku.

Po strzale ptak spadał po gałęziach w dół, próbował jeszcze schować się w krzaku. Siemomysł mokry i szczęśliwy odnalazł głuszcę. Wrócił też Sambor. Razem cieszyli się z pięknego trofeum zdobytego na Rozdrożu Izerskim.



HUBERTUS

POD ZAMKIEM KSIĄŻĘCYM

Z książąt świdnicko-jaworskich, ród Bolczów był dość liczny. Mikołaja Bolcze mianował Bolko II burgrabią książęcym zamku Rogowiec. Inny „cierieus Bolcze” był burgrabią zamku na Sokolcu oraz bogatym właścicielem, o szerokiej perspektywie rozwoju swego regionu obronnego pogranicza polsko-czeskiego.

Rodzinne powiązania z kopalniami miedzi, ołowiu i srebra w Miedziance, dawały ku temu okazję, umiał też godnie prezentować swój dorobek w Świącie Hubertowym.

*

Rozwój rolnictwa w połowie XIII wieku w Kotlinie Jeleniogórskiej był ograniczany przez licznie dziko żyjącą tu zwierzynę. Nowo zasiane zboża, często były świetną karmą, a świeże ich pędy doszczętnie zjadane przez jelenie i dziki, których żyły tu wielkie ilości. Częste zniszczenia plonów groziły głodem, a nawet śmiercią mieszkańcom tych ziem.

Polowania na jelenie stawały się jedynym rozwiązaniem tych problemów. Dla władców Zamku Książęcego, którzy uprawiali pola pod Górą Godzisz i dla właścicieli pozostałych grodów pogranicznych, łowy stawały się koniecznością. Były one także stałym powodem gotowości w ciągłym szkoleniu łuczników w grodach obronnych nad Bobrem.

Coroczne pokoty jeleni i zwierzyny łownej nad Młynówką i na Targu Różanym praktykowano od dawien dawna. Każdy Hubertus był wyjątkowym świętem i wielkim wydarzeniem wśród społeczności jeleniogórskiej.

Znano już straty poniesione w zbiorach za miniony rok. Zaplanowano miejsca nowych zasiewów i przyszłych zbiorów oraz

ewentualnych przewidywanych strat, dlatego skrupulatnie planowano redukcję zwierzyny, która niszczyła ich plony.

W pierwszej dekadzie listopada urządzono uroczyste polowania na jelenie. Pokot ich odbywał się jak zwykle nad Młynówką pomiędzy miastem a Zamkiem.

3 listopada był dniem mroźnym. Wodę skuły lody, a szrony pobieleły drzewa i trawy. Kiedy opadły mgły wyszło słońce, ale tylko nieznacznie ogrzało ziemię. Tego dnia nad Bobrem zebrala się duża grupa braci myśliwskiej. Przywiozła ze sobą swe leśne trofea z ostatnich kilku polowań.

Niedźwiedzie i jelenie ułożono na grobli przy rzece, potem dziki, sarny i borsuki, a na końcu lisy i zające. Na plac ściągnęły dziesiątki gapiów, kupców z miejskich ław, rzeźników, kożuszników, rymarzy i innych rzemieślników. W uroczystości tej brali udział nie tylko przedstawiciele zamku książęcego i Strupic, ale także Kozińca, Sokolca, Bolczowa i Świn, jak również Wlenia i pozostałych grodów nad Bobrem, gdzie uprawiano pola.

Sambor na turzym rogu odegrał sygnały łowieckie i zakończenie pokotu. Podziękowano braci łowieckiej za zdobyte trofea, wyróżniono i obdarowano ich pucharami piwa z Młyńskiego Browaru. Kupców zachęcano do nabywania dziczyzny, poroży, skór i futer. Impreza handlowa cieszyła się dużym uznaniem, wśród miejscowej ludności.

Widok bogatego pokotu nad Młynówką, tym razem był bardzo wspaniały i wartościowy. Wielki podziw wzbudzały byki pozyskane ze Skalnego Mostu i wśród Starościńskich Skał. Jelenie zdobyte przez myśliwych z Bolczowa były na wagę najczystszej srebra. Sztuki wielkie i cenne o okazałych rozłożystych wieńcach wybierane przez rzemieślników do budowy wieszaków na ubrania i ozdobnych, regionalnych mebli. Łucznicy przywieźli też wyprawione, delikatne skóry z borsuków na czapy i kożuchy dla niewiast.

Puchary i pamiątki zdobyte w dniu św. Huberta przekazano burgrabiemu Bolcze, a ten w dowód wdzięczności zaprosił łuczników z Jeleniej Góry na łowy nad Janowickie Garby.

*

Góry już pokryły się białym puchem, ale mróz trzymał niewielki. Strażnicy z Bolczowa donosili o wilczych natropieniach pod Jańską Górą, nieopodal kamiennego grodu. Jak co roku wilcze zgraje przychodziły ze wschodu, szły zarośniętymi lasami po szczytach gór. Zagryzły konia, kiedy woźnica przygotowywał w lesie drewno na opał, a w ubiegłym roku psa w gospodarstwie nad Janówką.

Po tropach naliczono ośmiu rabusiów, które podeszły nocą pod zagrodę Nieczuja i zagryzły tam aż sześć owiec. Tego było już za wiele. Tej jesieni Bolcze wyczuwał grożące ludziom niebezpieczeństwo, dlatego korzystając z nadarzającej się okazji, zaprosił do siebie chętnych łuczników, obiecując im ciekawe i owocne polowanie. Jego strażę dwoiły się i troiły, aby zdobyć jak najwięcej informacji o wilkach. Ustaliły, że watahy miały swe gniazda wysoko w górach, w mało dostępnych, odległych od siedzib ludzkich gęstwinach i gołoborzach pod wysoką górą, zwaną Głazowiskiem. W tamtejszej okolicy nigdy nie zagryzły jelenia, ani innej zwierzyny. Swoje łowy dokonywały znacznie dalej, a swą zdobycz przenosiły w szczękach do gniazda.

W zbójeckich łowach basiorowi pomagała wadera, a najczęściej ich ofiarami padały gospodarskie zwierzęta Nieczuja, które były łatwiejsze do zdobycia niż zwierzyna dzika. Strażnicy słyszeli wycia młodych wilków, oczekujących na swych rodziców i pożywienie. Trwało to najczęściej nocami lub o wieczorowej porze. W tym czasie zginęła część owiec Nieczuja, a kiedy zniszczono wilcze gniazda, napadły na drwali w lesie oraz okaleczyły śmiertelnie konia.

Wilcze łowy odbywały się zwykle na odległych pastwiskach i przy gęstych zagajnikach. Długie czaty przy zaduszonej zwierzynie - przynęcie nie przynosiły żadnego wyniku.

Nad Janówką stare wilki rozpoczynały swoje łowy o zachodzie słońca, a kończyły dwie godziny przed świtem. Nieczuj posiadał dobry słuch, umiał wabić i orientował się gdzie przebywały. Podsluchiwał je przez parę dni przed polowaniem. Szkody były jednak coraz większe. Znalezione już parę sztuk zagryzionych saren, jelenia byka i łanie nieopodal jego chaty.

Polowanie rozpoczęło wcześniej rano. Łuczników podzielono na małe grupki i w saniach rozwieziono po obwodzie. Mieli oni obstać większy obszar leśny, stając tylko na przesmykach. Pędzenie rozpoczęło wcześniej rano. Lekko postukując kijkami w pnie drzew naganiacze wędrowali wzdłuż wilczych natropień.

Pod wieczór saniami pozbierano myśliwych, którzy ustrzelili cztery basiory i dwa młode wilki, które również trafiły na targowisko. Przy okazji Nieczuj zdobył wielkiego odyńca, przy którym uroczyscie świętowano następny dzień na zamku w Bolczowie.



Bogaty pokot nad Młynówką był wspaniały i wartościowy.

BACA

Z RUDAW JANOWICKICH

Tej nocy śnieg sypał obficie nad stromym urwiskiem rzeki Janówki. Po wczorajszej biesiadzie wszyscy spali zadowoleni i syci, bo przecież dziczyzny i miodu było pod dostatkiem. Jeszcze do samego rana dymił piec wędzarni przy warowni w Bolczowie, a wokół było ciepło i przyjemnie. Stoły zaś dalej stały pełne napojów i pieczonego jada.

Strażnica wznosiła się na wysokim grzbiecie góry. Włączona była w system obronny i z takim pietyzmem pobudowana, jak inne graniczne warownie wznoszone przez Bolka II nad Bobrem.

Wśród grodów obronnych strażnica ta jednak należała do najbardziej oryginalnych budowli. Mury tu wyrastały wprost z granitowych skał z których schody i krużganki oraz fosa tworzyły rodzaj harmonii i symbiozy z wokół rosnącą przyrodą. Warownia była ciągle rozbudowywana i ulepszana z pokolenia na pokolenie. Budowano ten zespół z fantazją, ale także z pomocą i finansami kopalni w Miedziance. Stanęła też wśród równie malowniczego górskiego grzbietu, jak i pięknych wieżyc skalnych, na Janowickich Garbach.

Budowla ta była pomysłem burgrabiego Bolcze, który miał także swe grodzisko w Sokolcu i był właścicielem kopalń miedzi, srebra i ołowiu w Rudawach Janowickich. Warownia znacznie oddalona od siedzib ludzkich i szlaków pieszych, ukryta wśród Sudeckiej Puszczy, stanowiła zaporę obronną dla nieproszonych gości i przekraczających granicę naszego państwa. Jej załoga wywodziła się z leśnych ludzi mieszkających w puszczy razem z niedźwiedziami, wilkami i jeleniami. Znającymi wszystkie tajemne przejścia i przesmyki leśne naprzeciwko granicy. Lasy przyległe znane

z obfitości zwierzyny, jaka występowała wokół strażnicy, stanowiły spiżarnię dla załogi obronnego grodu. Nie były tu rzadkością niedźwiedzie brunatne, tury i łosie, ale i borsuki, jelenie i dziki.

Od paru lat głośno było w warowni Bolcza o wielkim jeleniu. Ci, co go spotkali, nie umieli przekazać jego potężnego wyglądu, sprytu i wielkości oraz wyglądu nadzwyczaj roślących wieńców na jego łbie. Bali się być ośmieszeni i posądzeni o przesadę. Stąd woleli o nim nie mówić.

Dawno temu ktoś nazwał go „Bacą” i tak pozostało na zawsze. Mieszkał pod Skalnym Mostem i na Jańskiej Górze. Znający dobrze jelenie Nieczuja twierdzili, że ten byk to gatunek górski i przywędrował ze Wschodnich Karpat. Był niewiele mniejszy od łosia i przewyższał swą potężną budową wszystkie jelenie górskie i z równin, żyjące w Sudetach.

Próbowano już wielokrotnie go upolować, ale wszelkie zasadzki i próby podchodu spełzały na niczym. Baca był niebywale ostrożnym jeleniem, ale i odpornym na strzały łuczników. Umiał znakomicie węchem znajdować miejsca nie uczęszczane przez ludzi. Wytrawny strzelec z Bolczowa Pater twierdził, że zdobyć go będzie można tylko ciężką włócznią, doganiając na koniu.

Bacę spotykano nad rzeką Jedlicą i pod Kowarskim Grzbieciem, a innym razem na Przełęczy Sowiej. Przez ostatnie lata jednak mieszkał na bagnach za Stróżnicą, pod Skalnikiem i Wilczyskiem

Udane polowanie na wilki i huczna biesiada z wędzoną dziczyzną na warowni Bolcza szybko rozeszła się po okolicy i zrobiła dobre wrażenie na sąsiadach znad Bobru. Po uczcie na strażnicy o Bacy stało się już tak głośno, że myśliwi z zamku z Jeleniej Góry i Strupic wyrażali powszechną chęć zmierzenia się z tym wielkim bykiem.

Wreszcie po wielu przygotowaniach, polowanie wyznaczono pod koniec listopada, po „białej stopie”, gdyż tylko wówczas mogło to skończyć się powodzeniem.



Od paru lat głośno było w warowni Bolcza o wielkim „Bacy”.

Krążyły liczne opowieści o wyczynach Bacy, który ratował ciężko rannego jelenia dziesiątą przed niechybną śmiercią w ten sposób, że ranionego popychał wieńcami w głąb puszczy. Przy tym nie odstraszała go obecność łucznika, ani zapachy farby z rany zadanej przez strzelców.

Jelenie mieszkały tu w gęsto zwartych młodnikach, które wyrosły pod górami w wielu niedostępnych miejscach. W osłoniętych od wiatru tunelach chroniły się w mroźne noce, tworząc kożuchy z własnego ciepła.

Pater znalazł wielkie tropy Bacy nad rzeką naprzeciw uprawnego pola ozimin. Wiatr zdmuchnął z niego śniegi i zielone pędy roślin ukazały się w pełnej krasie. Wówczas jelenie zrobiły, co swoje: obgryzły rośliny, a racicami zdeptały resztę upraw. Wśród śladów były wielkie kopyta Bacy, który tu przyprowadził całą chmarę jeleni.

Dla ludzi żyjących na strażnicy i w pobliskich gospodarstwach było to znaczącą stratą. Dotąd straż leśne nie umiały odkryć tropów jeleni i były zadowolone z ich nieobecności. A te jednak dla ukrycia natropień mieszkały w wąskiej drągowinie tuż przy uprawie. Nie ruszały się czekając na okazję, a ta przyszła po słonecznym dniu i tej księżycowej nocy chmara jeleni zniszczyła wysiłek ludzi pracujących tu przez cały rok.

Na strażnicę konno przybyli wytrawni łucznicy w Kotlinie Jeleniogórskiej Sambor z Siemomysłem i Godkiem. W polowaniu również brało udział trzech miejscowych tropicieli i sześciu naganiaczy. Łucznicy, z zachowaniem bezwzględnej ostrożności, pod wiatr udali się o północy na oziminy dotąd nie tknięte przez jelenie. Wcześniej zostali spryskani przez znachorkę wywarem z szałwii i sosnowych szyszek dla zabicia ludzkiego zapachu. Pater tropiciel poprowadził łuczników na przesmyki i na obrzeże pola z oziminą. Noc była jasna, księżycowa i bezwietrzna. Szli ostrożnie i cicho. Płynąca z góry rzeka swym głośnym pluskiem

tłumiła ich kroki. Za gęstym lasem rozwarła się przed nimi biała przestrzeń pola, a na jej środku ciemny kozuch chmary jeleni.

Baca leżał z boku pod okapem świerkowych gałęzi. Nie żerował, a pilnował i bacznie się przyglądał. Kontrolowałby osobno żerujące byki nie zbliżały się do łań, nawet kilkakrotnie zaryczał swym ostrzegawczym, basowym głosem.

Sambor kilkakrotnie cicho beknął w swą tubę. Baca podskoczył jak rażony strzałą i powoli zaczął podchodzić pod las, gdzie stali łowcy.



Polowanie na wab było polowaniem wielkiej klasy i bardzo trudne. Kto tej sprawności ryków na tubie, czy jęków na szkłe nie opanował, nie mógł polować i zdobyć trofeum. Sambor był mistrzem w tej sztuce, bo sędziwy byk powoli zdążał w jego kierunku. Jego rozłożyste wieńce i ociążały chód przypominały do złudzenia wielkiego Bacę.

Sambor na opiłowanym rogu tura grał skrycie, z przerwami i zmieniał swe położenie nad rzeką. Nasłuchiwał też byka jego pomocnik Pater, który stał za rzeką i również cicho porykiwał na rogu, a nawet delikatnie złamał gałązkę.

Baca raptownie i ze złością pobiegł na skraj puszczy. Sambor nie spodziewał się takiego jego zachowania, ale teraz dopiero mógł w blasku księżyca obejrzeć rozłożystą koronę byka. Była piękna, ukształtowana w pełnej symetrii, miała długie odnogi i tyki gęsto usiane kolcami. Każda z nich posiadała po dwie korony, a jedna nawet była potrójna.

Byk jednak nie stał na strzał, był zbyt daleko i węszył niebezpieczeństwo. Nagle jak błyskawica podskoczył i zerwał się do ucieczki. Wówczas na jego grzywie zawisły strzały Siemomysła i Godka. Zerwał się jak szalony, biegł w kierunku ściany lasu, a za nim cała chmara jeleni. Zanim jednak przeskoczył rzekę, zawisła też na nim ostra włócznia Sambora. Wielki szum powstał wśród lasu, chmara rwała nie bacząc na obwisłe gałęzie choin i krzaki. Plusk wody pod racicami jeleni wydawał się głosem wodospadu. Przed świtem las zupełnie zamilkł.

Przez cały następny dzień Nieczuj z Paterem i sforą psów szukali tropów Bacy aż pod Starościńskimi Skałami. Czerwony ślad farby z zadanych ran znaczył drogę jego ucieczki. Dopiero pod wieczór psy znalazły wielkiego byka.

Jego wspaniałe poroże przez wiele lat zdobiło bramę warowni Bolcza. Było chlubą załogi grodu nad Janówką. Nigdy więcej potem, do końca czasów świetności tej warowni, takich wielkich byków w puszczy nie spotkano.

RANIONY DZIK MŁODEGO PATERA

Zima tego roku na Przełęczy Karpnickiej opóźniła się. Przyszła dopiero po paru łagodniejszych dniach, wtedy śnieg zaczął sypać obficie, a po nim zamiecie i mróz trwały przez kilka okrągłych dni, tak, że śnieg trzeba było odwalać od głównej bramy obronnego grodziska.

Warownię rozbudowywano. Zgromadzono na górze wielu rzemieślników i budowniczych, a także ludzi z puszczy do prac pomocniczych. Mieszkali oni pomiędzy skałami, w chizynie okrytej słomą i gałęziami świerków, wśród której paliło się stale ognisko. Drewna na zimę zgromadzono wystarczająco dużo, choć już zaczął obowiązywać książęcy zakaz wyrębu drzew i budowy nowych osiedli w puszczy.

Czasy były trudne, ziemią rządzili starostowie i książęta, choć te przyległe do warowni były własnością Bolcza. Ostatnio puszczańską krainę nawiedzało wiele nieszczęść. Często panował głód i zaraza, która uśmiercała ludzi i przynosiła dużo kłopotów mieszkańcom w całej okolicy i burgrabiemu.

Mimo to poczyniono wiele dobra dla polepszenia stanu lasów wycinając susz, a także poprawiono dotąd nietknięte leśne ścieżki. W księstwie świdnickim i jaworskim oraz w Kotlinie Jeleniogórskiej obowiązywała wówczas decyzja dotycząca budowy nowych dróg oraz ochrony lasów. Wokół warowni Bolcza lasy były prywatne i w miarę zasobne w dziką zwierzynę. Gdyby nie tak wielka ilość wilków - szkodników, puszcza byłaby w stanie wyżywić całą załogę.

Zadecydowano o cyklu polowań dla ochrony pól z takim trudem wykrojonych wśród lasów. Wydano bezwzględna walkę ze zgrajami wilków i niedźwiedzi, które niszczyły zwierzynę. Upo-

lowano znaczną ilość jeleni. Schwytano kilka turów, które przetrzymywano w zagrodzie, udomowiono dla uzyskania stada krów mlecznych tak jak to robiły inne grodziska.

Tej zimy w puszczy wilki zagryzały wiele jeleni i saren, które śnieg zepchnął z wysokich gór. Pozostawione, nie zjedzone resztki stawały się żerem dla licznych watah dziczych mieszkających nad Janówką.

Zdobycie dzików było trudnym, ale najtańszym sposobem pozyskania mięsa dla wyżywienia załogi warowni, która teraz, zimą miała odcięty dostęp do zewnętrznego świata. Dziki były zwierzyną pierwotną, niełatwo dającą się upolować. Stały się ostatnim nieustępliwym trudnym gatunkiem dla człowieka w puszczy. Nawet wielki niedźwiedź stawał przed myśliwym na tylnych łapach, odkrywając swą pierś i serce ułatwiając umieszczenie w niej ostrej strzały. Dziki były stale w ruchu i nie dawały okazji, ani powodów do celnych strzałów.

Zimowego poranka o świcie, przy ponowie, udało się wytropić watahę. Do młodnika wchodził trop olbrzymiego odyńca, a wyjścia z niego nie było. Podobno przyszedł do stada i zatrzymał się w miocie. Na tę wiadomość łucznicy z warowni, saniami zajechali pod młodnik. Wśród nich był młody syn Patera, odważny i nieprzeciętny chłopiec, uzbrojony w nowiutki łuk i kołczan z ostrymi strzałami, którym wcześniej pilnie doskonalił swą sprawność w strzelaniu do makiety dzika. Do żywych dzików w lesie jeszcze nie strzelał. Była to jego pierwsza okazja sprawdzenia swej umiejętności strzeleckie w lesie.

Doświadczony łowczy Bolcza mało sobie cenił młodego Patera. Nie wierzył w jego sprawność łowiecką. Postawiony na linii mógł przecież zepsuć całe polowanie. Przydzielił go zatem na daleką flankę, a że stary dzik często wykrada się na boki, życzył tam mu szczęścia. Na linii należało do dzika strzelać w miot, wtedy albo dzika się trafi albo wystraszony świstem strzały wróci do miotu z powrotem. Stawał się ponownym celem dla strzelców.

Młodzieniec zaledwie stanął na swym stanowisku i już naganika ruszyła, ukazał mu się duży dzik. Biegł truchtem ku bocznej linii strzelców, a kiedy ich zauważył skokami ruszył do przodu. Młody łucznik daremnie, wśród krzaków i drzew, próbował wymierzyć w niego strzałą. Trudno mu było chwycić go na cel.



Dzik zauważył linię strzelców i skokami rwał w ich kierunku, dzieliło go od niej jakieś pięćdziesiąt kroków. Młodzieniec mierzył, więc w prześwit linii, przez który dzik musiał przeskoczyć. Trzęsły mu się ręce, ale z wysiłkiem napiął łuk i ze świstem strzalała poszybowała wzdłuż drzew. Cudem nie chybiła strzala, trafiła odyńca. Wystraszony dzik siłą rozpędu uderzył gwizdem w pień drzewa i leżał bez ruchu. Trząśł się Pater teraz z wrażenia. Nawet nie pamiętał, kiedy wypuścił strzałę, a nawet czy celnie mierzył. Nie wierzył też swym oczom, kiedy na śniegu zobaczył leżącego czarnego zwierza. Taki jest koniec sławnego odyńca, który tyle razy

uszedł licznym zasadzkom i niebezpieczeństwom – myślał ze szczęściem.

Kiedy łucznicy spotkali się przy saniach, ktoś z dala krzyknął. Dzik w miocie! Pośpiesznie obstawiono linię strzelcami. Wielki dzik ustrzelony przez młodego Patera uchodził do lasu. Znalezione tylko w miejscu trafienia połamaną strzałę, kilka kropel farby i pęk długich kudłów z chybu. Podeszli łucznicy, ślad odyńca rzeczywiście pozostał na śniegu, ale strzała wbiła się w niego zbyt płytko i gamrat przeżył to uderzenie.

Stary doświadczony Pater nie litował się nad synem. Uważał, że i tak miał szczęście, bo wielkiego dzika położył, tylko szkoda, że go zlekceważył. Tak w zwyczaju bywa, że zraniony zwierzę, często przebiegając obok strzelca, stara się go zahaczyć swym kłębem, a jeżeli mu się to nie uda dopiero dalej uchodzi, ten odynieć tego nie uczynił.

Locha bywa dla człowieka groźniejsza od odyńca. Raniona lub podrażniona wyrwconego strzelca do końca gryzie kłębami i depcze racicami. Jeżeli człowiek uskoczy, goni go, dokonuje zemsty, a odchodząc sprawdza czy człowiek nie podnosi się. Kiedy myśliwy idzie z psem, locha prowadząca warchlaki atakuje go zawsze, nawet nie zaczepiana. Młody Pater mimo braku doświadczenia miał wielkie szczęście.



WIOSENNY TURNIEJ NA BOLCZOWIE

Każdej wiosny przy warowni w Bolczowie wysłuchać można było bełkotania kogutów cietrzewi, które odbywały swe toki na wypalonym zboczu Suchej Góry. Od pierwszej dekady kwietnia do początku maja, w spokojne poranki, pieśni często płynęły z halizn oddalonych nawet o kilka wiorst. Ptaki te, choć mniejsze od głuszców, rozmnożyły się na pogórzu warowni w wielkiej ilości, mimo, że ich gniazda niszczyły rysie, lisy i nawet dziki.

Przed laty pierwszego cietrzewia do grodu przyniósł Pater. Był to stary kogut o czarno-fioletowej barwie, którą w czasie godów zmieniał na karminowo-czerwoną. Miał korale nad oczami, ogon wygięty w kształt liry i srebrno-białe barwy skrzydeł, które tworzyły harmonijną całość. Był jednym z najpiękniejszych ptaków sudeckiej puszczy, którego załoga warowni oglądała. Po upieczeniu go, próba smakowa wypadła pomyślnie, co spowodowało, że każdego roku urządzano na niego polowania. A że wyniki były pomyślne, polowania na cietrzewie stały się każdej wiosny bardzo popularne wśród strzelców nad Bobrem.

Bolcze z Paterem wiedzieli, że polowanie na tokach ma ogromny urok i daje wiele wrażeń wzrokowych i słuchowych. Ponadto rosnąca wokół puszcza, przyciągała wszystkich swym powabem. Postanowili więc zorganizować turniej dla łuczników znad Bobru. Piękno miejscowej przyrody, bełkotanie cietrzewi winno ich wprowadzić w dotąd nie spotykany zachwyt i przysporzyć sławę grodzisku.

Spotkanie zaplanowano na połowę kwietnia. Rozesłano zaproszenia do Siemomysła ze Strupic i Sambora z grodu Krzywoustego.

go oraz łuczników z Kozińca. Obaj wytrawni łowcy już polowali na cietrzewie w Izerach, w terenie bardzo trudno dostępnym i nieprzewidywalnym. Na łowy w Bolczowie przybyli chętnie, tak jak pozostała grupa łuczników, zachęcona sukcesami myśliwskimi oraz dobrą kuchnią na warowni.

Jeszcze przed świtem rozwieziono łuczników na wyznaczone wcześniej miejsca, najczęściej pod pnie drzew, leżące kłody i gęste chaszczce. Olbrzymi teren łowiska był w formie wklęsłej misy rozległej na kilka wiorst. Na horyzoncie stał bór, a przed nim halizny i dziesiątki czarnych pni wyłaniało się z delikatnej mgły. Z dala od siebie wyrastały młode brzoźki i czasem tworzyły gęste ciemne kępy.

Na drzewach, w szarej mgle, czerniły się cztery punkty cietrzewi. Kiedy pojaśniało, ptaki spłynęły na łąkę. Siemomysł okrążył kępę i spłoszył dwa koguty, które z ciekawością przefrunęły nad nim. Tam spotkał się z Paterem. Cietrzewie szybko ich odkryły i wyraźnie obserwowały. Teraz Pater już się nie krył. Podnosił ręce i zwracał uwagę na siebie. Siemomysł zaś chyłkiem i niepostrzeżenie okrążył kępę brzoź i nim ptaki zorientowały się o zasadzce, dwa z nich trafione strzałami, trzepocząc skrzydłami opadły na ziemię.

Sambor stanął z dala od nich, na zrębie przy palenisku obok podmokłego strumienia, który spływał z góry. Przed nim wznosił się piaszczysty pagórek wkoło porośnięty jagodziskiem. Za jego plecami rozciągało się wąskie pole wysokiej oziminy. Kiedy się rozjaśniło, koguty zaczęły w nim tokować. Poranek był chłodny, ale słońce już wschodziło nad Janowickim Garbem. Z wielką ostrożnością zbliżał się w kierunku tokującego koguta. Zasiadł pod konarem, przytulił się do czarnego pnia i zastygł w bezruchu. Odległość do kogutów była znaczna, lecz innej szansy nie miał. Ptaki w oziminie bełkotały dość głośno i tłukły się, aż pióra fruwały, potem z hałasem siadały na pobliskich konarach drzewa. Nagle jeden odezwał się dość blisko, na jego głos odpowiedział



Piękno miejscowej przyrody, bełkotanie cietrzewi winno wprowadzić łuczników w dotąd nie spotykany zachwyt i przysporzyć sławy grodzisku.

drugi i trzeci. Po kilku czuszykaniach, kiedy podfruwały, zaczął się bliski bełkot, podobny do gotującej się wody w naczyniu.

Słońce tu weszło później, bo pole leżało w dolinie. Cietrzewie zamilkły, kiedy pierwsze promienie światła położyły się na gałęziach. Zrobiły to jakby dla uczczenia wschodzącego słońca. Po paru minutach szabas, toki zaczęły się ze zdwojoną siłą. Walki trwały długo. Ptaki jakby odważniej przelatywały nad Samborem i siadały blisko jego kryjówki. Wybrał najbardziej awanturującego się koguta, a posłana strzała zrzuciła go z gałęzi. Ptak jednak po chwili próbował odlecieć, ale druga strzała mu to uniemożliwiła.

Na chwilę toki ucichły, ale potem wszystko wróciło do normy. Księżycowa noc i obfita rosa, która pokryła gałęzie i trawy, była dobrą okazją do uzyskania znakomitych wyników. Teraz jednak głosy cietrzewi zaczęły płynąć odmienione, pełne przestrachu i ostrzeżenia, a po chwili ptaki zerwały się z hałasem i odleciały.

Pater nie miał najmniejszych trudności z podejściem grającego koguta. Ptaki tu były bardzo ostrożne i mimo swych walk widziały wszystko, co się wokół działo. Podchodził je więc ostrożnie przed najciemniejszym krzakiem. Nagle za sobą usłyszał krakanie ciecioriki. Z doświadczenia wiedział, że kogut przyfrunie do niej. Znowu nastała cisza. Czekał, lecz kogut zaczął dalej grać i siedział na gałęzi. Trwało to zbyt długo. Ścisnął nos palcami i zakrakał podobnie jak kura. Cisza nastała zupełna, wydawała się zadziwiająca i niepokojąca. Po chwili załopotał dłońmi o sukmanę, udając ruch skrzydeł. Teraz kogut nad nim przeleciał. Był już pewien, że nie zdobędzie tego ranka cietrzewiej liry.

Wyszedł z ukrycia. Niebo na wschodzie pokrywał kolor jasnego błękitu, gdy nagle ciche tururu, tur, tur zagrało w pobliżu i gwałtownie wstrząsnęło jego ciałem. To na pewno cietrzew! Dojrzeć go jednak nie umiał. Znowu świst skrzydeł popłynął po lesie. Niewidzialna siła zatkała mu dech w piersi, gdy usłyszał w pobliżu głośne czuszykanie i znowu tur, tur zagrało w pobliżu. Opuścił ukrycie na leśnej polanie i ujrzał smolisto-czarnego ptaka

na mglistej polanie. Po chwili do niego przybywało coraz więcej cietrzewi, jedne spadały z gałęzi, inne ciekły po dukcie.

Nagle dwaj najgroźniejsi rywale stanęli przed sobą. Czekając na ostre starcie zjeżyły pióra, ogony rozsunęły w kształt liry i głośno sycząc szykowały się do boju. Potem biły się dziobami podskakując z trzepotem skrzydeł, uderzały na siebie z odwagą i groźnie. Jeden z nich oberwał porządnie, bo zwinął skrzydła i chyłkiem umknął pod świerkowy okap drzewa. Zwycięzca począł tańczyć. Popisywał się skakaniem i śpiewem godowym, wydawało się, że został zwycięzcą.



Pokonany naraz jak kula wyskoczył spod drzewa i z całą siłą uderzył zwycięskiego rywala, aż ten się przewrócił. Walka zaczęła się od nowa, jeszcze bardziej zacięta i zażarta. Teraz na ziemię leciały gęsto pióra wyrwane szponami i dziobami z obu rywali. Znowu zwyciężył ten starszy i bardziej doświadczony w miłosnych turniejach. Szalał ze szczęścia, rzucił się nawet na następnego przeciwnika. Groźnie rozpuścił swój biały wachlarz-lirę i skoczył

do stojącego obok koguta. Ten jednak nie garnął się do walki. Kiedy został uderzony dziobem tak silnie jak młotem, upadł na chwilę i znów rozpoczęła się straszna walka.

Pater przez chwilę zapomniał, że jest na polowaniu. Przerwał jednak ten bojowy spektakl i celnym strzałem zakończył popisy leśnego gracza i awanturnika. Teraz dopiero zauważył, że na drzewach i przy drodze siedziały zalotnice ubrane w godowe szaty w rdzawo-szare grochy i dopingowały rywali.

Pater wyszedł z ukrycia. Ciecioriki nie wytrzymały i odfrunęły. Razem z kogutami opuściły leśną polanę nad Janówką. Drżącymi rękami podniósł koguta. Był wielki, długo mu się przyglądał. Zadowolony powrócił do koni.

Ptaki ułożono pod wielkim, starym dębem. Wszystkie robiły wspaniałe wrażenie. Cietrzew Patera był jednak najpiękniejszy, największy i przyniósł nową chwałę i rozgłos warowni w Bolczowie.





Mróz trzymał niewielki, choć biała czapa śniegów i szronów wisiała na gałęziach przy biegnącej pod górę drodze.



Gęsty młodnik stał przed nimi otworem. Natropień tu nie było, tak i dziki z niego nie wyszły. Wydawało się, że był on wymarzonym miejscem, dla schronienia się zwierzyny.



W GAWRZE POD WILCZYSKIEM

Na zboczu grodziska w Bolczowie ustawiono zagrodę dla stada owiec. Obok niej powstała nowa, wyższa i solidniejsza, dla dwóch turzych cieląt schwytyanych na łąkach pod Wojcieszowem. W niej znalazły się też, kupione przez burgrabiego Bolcze, stary tur - byk i dwie krowy. Tury, których resztki przywędrowały nad Odrę z północnych, zimniejszych części kraju, zamiast spokojnie się tu rozmnażać były chwywane i oswajane dla pozyskania mleka, które było świetnym składnikiem pożywienia ludów mieszkających przy puszczy.

Jesienią, kiedy prowadzono wypas owiec nad Janówką, wilki zagryzły ich kilka, a ponieważ były to dość częste przypadki, te wilcze praktyki należało ukrócić. Wyznaczono brata Nieczuja, gospodarującego nad rzeką, do zajęcia się wilkami. Był on jednym z wytrawniejszych strzelców i niejednego wilka czy jelenia miał na sumieniu.

Za namową Patera pobudował sobie na skraju puszczy, pod wysoką górą Wilczysko, chatę tuż przy Karpnickim Potoku. Woda w nim płynęła czysta jak kryształ, była łatwa do czerpania i pełna pstrągów. Stąd i z kamiennych skał każdego roku zgraje wilków schodziły na gołoborza, gdzie wypasano stado owiec. Tam też je porwały i zagryzały, ku utrapieniu pasterzy i hodowców z warowni.

Późną jesienią w Bolczowie przeprowadzono dwa tradycyjne polowania na jelenie, które niszczyły pola uprawne. Mimo ich znacznej redukcji, jeleni jednak nie ubywało. Za to dzików było niewiele. Spotykano najczęściej duże sztuki, stare odyńce i samury, a ich młodzież była wycinana przez zgraje sprytnych wilków. Warchlaki, którym udało się ten młodzieńczy okres przetrwać, dożywały do później starości. Zdarzało się to jednak rzadko. Wil-

ków z początkiem listopada przy warowni nie spano przez kilka nocy. Psy szczekały od wieczora do rana tak hałaśliwie, że w końcu postanowiono przypilnować obie zagrody. Zauważono, że przychodziły do turów dwa niedźwiedzie. Próbowaly wyrwać futrę, ale to im się nie udawało, to też brały się za płoty i je łamały.

Niedźwiedzi w puszczy było niespodziewanie dużo, mimo, że upolowano już kilka. Były nadzwyczaj ostrożne i nie dawały się podejść. Zimą zasypiały w gawrach, śnieg je okrywał i nie było ich widać. Wszystko zaczynało się od początku z nastaniem wiosny. Zagrody z owcami i bydłem były dla nich jednak bardzo pojętne. Burgrabia zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, jakie te wizyty niedźwiedzi w zagrodach niosły.

W puszczy nastała zima. Śniegi spadły obfite i problem z niedźwiedziami się skończył, bo poszły spać. Nieczuj mógł się spokojnie zajmować zdobywaniem wilczych skór. Przy chacie wykładał padłe zwierzęta oraz zagryzione przez wilki owce i sarny. W księżycowe noce strzelał i zdobywał włócznią dwie, a czasami trzy sztuki. Na ciepłe, wyprawione przez niego kozuchy, czekali handlarze w osadzie pod zamkiem Bolesława Krzywoustego. Przynosiły mu one znaczne dochody i zachęcały do zdobywania następnych skór.

Niecuń wędrując pod szczytem góry Wilczysko odkrył gawrę niedźwiedzia, który przychodził pod zagrody warowni, a teraz w niej spał okryty chrustem i śniegiem.

Na niedźwiedzia do Bolczowa przyjechała spora grupa łuczników z Samborem i Siemomysłem na czele. Polowanie zorganizował Pater. Mróz trzymał parę stopni poniżej zera, las był oszroniony i wyglądał pięknie o poranku.

Do chaty Nieczuja jechali konno. Pater z psem ruszył lewym brzegiem strumienia, prowadząc za sobą trzech łuczników z kołczanami i łukami na plecach. Droga była trudna, ciągle trzeba było przechodzić powalone pnie drzew i omijać wielkie głazy. Po dwóch godzinach marszu zatrzymali się dla odpoczynku, potem ruszyli do

chaty Nieczuja. Czekał on na nich na progu, trzymał w zębach palący się cybuch i ostrym dymem zwracał na siebie uwagę.

Sprawdzili swe strzały, włócznie i ostrożnie zaczęli się skradać pod górę do barłogu. Nieczuj szedł pierwszy ciągnąc za sobą prymitywne sanie do ewentualnego przywiezienia upolowanego niedźwiedzia.

Szli po cichu. Biała okiść sypała się im na głowy przy każdym niemal dotknięciu gałązki. Po jakimś czasie Pater znów przystanął i zatrzymał łuczników. Pokazał swą włócznię, którą niósł ze sobą. Była ona lekka, z giętkiego, wyschniętego drewna, z wbitym na końcu ostrym żelaznym grotem, przewiązanym ścięgnami zwierzęcymi. Dalej na szczyt wędrowali obsypani białym puchem. Pater znów się zatrzymał i ostrze swej włóczni skierował w stronę białego kopca śniegu stojącego na wprost przed nimi.

Zobaczcie – wyszeptał. Tam obok tego wielkiego świerka, pod jego szerokimi gałęziami stoi biały kopiec. To jest barłóg, gdzie śpi ten nasz kłusownik. Postaramy się go delikatnie obudzić i spotkać się z nim. Pater spokojnie i po cichu wypowiedział te słowa, „tu śpi ten leśny zbój” aż kolegów wokół stojących obleciał strach. Wszyscy byli zaniepokojeni, a niektórzy nawet nie wierzyli, żeby w tej kuli śniegu mógł znajdować się niedźwiedź. Pater uspokoił psa i rozstawił łuczników wokół barłogu, co kilkadziesiąt metrów. Ostrzegł wszystkich, aby nie strzelali do barłogu, co nie godziło się wówczas wytrawnym myśliwym. Gdy byli już gotowi, z włócznią podszedł pod śnieżną górę, jego pies poszedł za nim. Delikatnie zaczął przebijać śnieżną skorupę barłogu, a pies ze skowytami od dołu wydrapywał go spod gałęzi.

Nagle spod kopca śniegu z rykiem wyskoczył wielki ciemnobrązowy niedźwiedź. Wydawało się, że miał zamiar ruszyć na Patera, ale nagle stanął na tylnych łapach i zawył. Pies podbiegł do niego, a ten ze swą zwinnością skoczył do ucieczki. W kurzawie śnieżnego pyłu rwał pod górę, szarpany przez szczekającego zjadle psa. Strzały posypały się gęsto, wiele z nich zawisło na

kożuchu niedźwiedzia. Naraz zachwiał się i z wielką wściekłością zawrócił. Teraz biegł prosto na Patera. Znów salwa przekłuła jego futro i przewrócił się. Dobiegli łucznicy. Pater wbił mu włócznię w serce, śnieg zaczerwienił się wokóło.

Tak pozostał na górze Wilczysko król Sudeckiej Puszczy. Pies wskoczył na niego i zadowolony szarpał za długie kłaki, podbiegli też łucznicy. Sambor poklepał Patera po ramieniu i gratulował odwagi. Gratulacje otrzymał też Nieczuj, który wytropił groźnego misia. Sambor odłamał zieloną gałązkę świerka i włożył w paszczę zwierzęcia, drugą zawiesił na kożuchu Patera.

Barłóg misia był otwarty, unosiły się nad nim cuchnące opary. Leże znajdowało się pod grubym korzeniem okrytym chrustem, z małym otworem wentylacyjnym, usłane mchem, suchymi liśćmi i łykiem.

Niedźwiedzia ułożono na saniach i przywiązano rzemieniami. Z wielkim wysiłkiem ściągnięto go do chaty Nieczuja. Tutaj zakończono ten wspaniały pokot przy miodowej nalewce.

Burgrabia Bolcze uhonorował dzielnych myśliwych specjalną uroczystością na warowni, gdzie przy piwie i dziczyźnie bawiono się do samego rana. Futro po wyprawieniu powędrowało do osady handlowej nad Młynówkę i przyniosło wielką chwałę grodzisku Bolczów.



POD PIASTOWSKIMI ORŁAMI Z KRZESZOWA

DOPISEK- Z DZIEJÓW I LEGEND

Mysia Wieża, która dziś góruje nad goplańskim grodziskiem w Kruszwicy była dawniej miejscem niesamowitych wydarzeń. Gall Anonim pisał, że nasi Słowiańscy przodkowie przyjęli wiarę chrześcijańską, kiedy grodem władał okrutny Książę Popiel. Po jego śmierci do zarządzania warownią wybrany został pracowity Piast Kołodziej zwany Piastunem - nauczycielem, który cieszył się wielkim uznaniem i szacunkiem wśród kmieci. Wtedy w jego domostwie odbywały się uroczyste postrzyżyny syna Ziemowita, który przechodził spod opieki matki Rzepichy pod nadzór ojca. Nieznani goście na tej uroczystości orzekli, że nowy jego następca da początek „Major Polonia” (Wielkiej Polsce). Uznali, że wówczas tutaj rodziła się nowa państwowość Lechitów.

Przepowiednia ta miała się wkrótce spełnić. Ziemowit dał początek dynastii Piastowskiej, która wprowadziła Słowian mieszkających pomiędzy Wisłą a Odrą do chrześcijańskiej Europy, gdzie panowali kilka wieków. Ich szlak Piastowski wiodł od Morza Połaków (Gopła), poprzez dwa pojezierza – gnieźnieńskie i poznańskie, poprzez Wyspę Lednicką z legendarną siedzibą Mieszka I. Razem z Polanami szli z pomocą swym braciom za Odrą.

Bobrzanie potrzebowali błogosławieństwa i pomocy przy budowie dróg i mostów w wielkiej Puszczy Sudeckiej. W tej sprawie zwracali się do Goplan, Polan i Dziadoszan już wielokrotnie.



Za panowania Mieszka I nastąpiły czasy łączenia się plemion Lechickich w zachodniej puszczy, stąd wiele wypraw wędrowało w stronę Odry i Czech.

*

Wcześniej nierzadka obecność człowieka nad Bobrem i w Sudeckiej Puszczy sięga bardzo starych, historycznych czasów. Śląsk włączony został w 990 roku przez Mieszka I w obręb tworzącego się państwa Polskiego, a wieki od X do XII były okresem stopniowego zrastania się terytorium plemiennego w jeden organizm państwowy. Świadczą o tym cmentarzyska odkryte koło Jeleniej Góry.

Źródła historyczne z przełomu 1000-lęcia mówią o sześciu lechickich plemionach Śląskich, w tym także o plemieniu Bobrzan, którzy zasiedlili dolinę Bobru, w tym Kotlinę Jeleniogórską. O ich wnikliwym spenetrowaniu Karkonoszy, świadczą liczne polskie nazwy: Bóbr, Ciekoń, Pleśna czy Łomnica itp. Od 1005 do 1250 roku osadnictwo miało tu charakter stały, o czym świadczą liczne grody i obronne warownie na Krzyżnej Górze w Sokolich Górach, w Strupicach i w wielu innych miejscowościach nad Bobrem. W tym czasie istnieją już lub też powstają nowe słowiańskie osady i wsie: Nielesto, Rybnica, Pilchowice, Strzyżowiec i wiele innych podobnych miejscowości. Mieszkańcy tych osad zajmują się głównie myślistwem i puszczańskim bartnictwem. Już od roku 1217 nadbobrzańskie osady leżące pomiędzy Wleniem a Jelenią Górą płaciły Henrykowi Brodatemu daniny z leśnego miodu i zwierzęcych, ciepłych skór. Na stromej górze Grabowiec znajdowało się kultowe Źródło, które w dokumentach Bolka II w 1366 roku zostało określone, jako święte. Do niego licznie wędrowali Słowianie.

W XII wieku nad Bobrem i Kamienną stanął potężny gród Bolesława Krzywoustego, swymi rozmiarami przewyższający dawne i powstające nadgraniczne obronne warownie.

Do puszczy nad Bobrem, gdzie klimat był cieplejszy niż w północnych zakątkach kraju, zaczęły też przybywać nieliczne tury.

Tu w puszczy były chwywane, osadzone w zagrodach i osławiane. Stały się początkiem hodowli mlecznego bydła, a pobliskie Bory Zgorzeleckie były przykładem tych praktyk. Za nimi podążali liczni wędrowcy i rodziny najczęściej z pobliskich plemion. Byli to prości ludzie, zbieracze miodu, hodowcy gospodarskich zwierząt, uprawiający ziemię rolnicy, a przede wszystkim myśliwi.

Marzyliby prowadzić życie spokojnie, a z sąsiadami żyć w pokoju. Osady często ukrywali w lasach i skupiali się przy domowych ogniskach. Z początku przy sobie nie mieli żadnej broni, mówili, że woleli chodzić z gęslami niż z mieczami u pasa. Wiara w jednego Boga, czystość obyczajów, poszanowanie własności i umiłowanie przyrody powodowały, że swe chaty nad Bobrem pozostawiali na oścież otwarte dla wszystkich wędrowców.

Późniejsze wojny i potrzeba obrony granic przed nieprzyjacielem i przypasanie oręża rozpoczęły proces rozkładu tego spokojnego organizmu, choć oni pozostali do końca uczciwi i dali się zawojować, podbić i ujarzmić.

Ważne jednak dziś jest to, co da się odgrzebać z ziemi, z grobowych szczątków. Nie ma wątpliwości, że lud ten, aby żyć musiał polować, często walcząc z o wiele silniejszymi niedźwiedziami, czy sprytnymi jeleniami. Musieli się ogrzewać w mroźne zimy i nosić ciepłe ubrania, szyc kozuchy z bobrów, kun i borsuków. Musieli też łowić ryby i wybierać jaja z gniazd. Siła, odwaga i zręczność były cechami niezbędnymi do życia.

Podgórze Karkonoskie słynęło z wielkiej ilości łownej zwierzyny. Ich stała obecność na handlowym rynku pod Wzgórzem Krzywoustego dała nazwę powstającej tu osadzie handlowej Cervimontium; a później miastu. Mieszkańcom przynosiła zdrowe pożywienie oraz rozwój dróg, osiedli i warsztatów rzemieślniczych.

Nad Bobrem, wzdłuż południowej granicy państwa od Wlenia do Janowic powstało wiele warowni obronnych, wśród nich: Wleń, Bobrowice, Jelenia Góra, Koziniec, Sokolec, Bolczów i Janowice. Powstały też zamki w Starej Kamienicy, Rybnicy, Ko-

warach i na Chojniku. Inne grody broniły drogi prowadzącej z Pragi przez Jawor do Legnicy i Wielkopolski. Grodzisko Srupicza na Wzgórzu Dziwiszowskim było członem tych lechickich praktyk zbieracko myśliwskich, dobrego sąsiedztwa i spokoju. Wydzierania lasom ziemi, budowy pierwszych dróg, pól i chałup.

Zamieszkiwali je wojowie, którzy w wygodnych dla siebie chwilach i z potrzeby warowni i grodzisk polowali. Dzika zwierzyna była często jedynym pożywieniem na ich stołach. Okrycia pochodziły z lasu i wody, a swe chaty pokrywali trzcina, skórami z żubrów i wielkich jeleni, które zapewniały spokojne przeżycie.

Po śmierci Bernarda Lwóweckiego w 1286 roku, rządy nad Kotliną Jeleniogórską sprawował książę Bolko I zwany Surowym. Był on twórcą dynastii, która przez ponad 100 lat władała ziemiami świdnicko-jaworskimi. Stworzył na nich kraj bogaty, zagospodarowany, łączący ze sobą zręczność i dyplomację z siłą oręża. Umiał najdłużej utrzymać pełną niezależność polityczną od swych sąsiadów.

Wówczas lud na Pogórzu Karkonoskim mówił po polsku i nazwiska ludzi były polskie. Druga połowa XIII wieku dla Pogorza Karkonoskiego stała się przełomowa, pod toporami osadników padła odwieczna puszcza. Powstały nowe wsie, osady i drogi, górnictwo i przemysł w silnie zaludnionej przez Słowian Kotlinie Jeleniogórskiej nad Bobrem.

Jeszcze większe zmiany nastąpiły za panowania Bolka II, którego z dworem w Krakowie łączyły więzi krwi (po matce był wnukiem Łokietka i siostrzeńcem Kazimierza Wielkiego). Był najwybitniejszym przedstawicielem dynastii. Jan Długosz pisał, że on jeden nie dał się zwieść swoim sąsiadom i podkreślał, że jest księciem polskim i od jedności z Polską nigdy nie odstąpi.

Za jego czasów nastąpił silny rozwój miast i wsi oraz górnictwa i przemysłu. Powstała kopalnia rudy żelaza w Kowarach i kroczące huta szkła w Izerach oraz wiele kuźnic żelaznych. Napływ kolonistów niemieckich spowodował, że ludność rodzima stawała

się powoli mniejszością. Po jego śmierci w 1368 roku władzę nad księstwem sprawowała wdowa, księżna Agnieszka do 1392 roku, potem ster rządów na kilkaset lat przeszedł w obce ręce.

Polskie słowa stopniowo milkły, najpierw w grodach i zamkach, potem w miastach i wsiach, jednak nigdy nie zamilkły zupełnie. Dzieje Słowian na długo zostały okryte mgłą, a przecież z przybyłych tu rodzin wyrastały rody, plemiona i osoby szlachetne. Trwają do dzisiejszego dnia w nazwach rzek, wsi i miast. Przetrwały polskie orły na herbowych tarczach świdnickich Piaśtów, spoczywających w krzeszowskim mauzoleum.

*

Sudecką Baśń – przygotowywałem od lat sześćdziesiątych. Najpierw materiały wykorzystywałem do publikacji o Zamkach Piastowskich nad Bobrem, prezentując je w prasie jeleniogórskiej i w innych wydawnictwach. W nich zawarłem uwagi i spostrzeżenia od dawnych leśników i myśliwych mieszkających obok tych warowni od 1945 roku. Grody Piastowskie odwiedziłem turystycznie wiele razy. Wykonane fotografie oraz uwagi ze starych archiwalnych książek zamieszczałem w tych publikacjach. Wiele materiałów znalazłem w Archiwum Archidiecezjalnym w Gnieźnie, w książce Hirschberg z przed 1933 r., Księgach Henrykowskich, Kronice Trutnowskiej, Mauzeum Piaśtów w Krzeszowie itp. Materiały o dawnym łowiectwie uzyskałem z książki pt. "Łowiectwo" Wiesława Krawczyńskiego z 1947 r., z opowiadań dawnych myśliwych polujących na Pogórzu Karkonoszy oraz z miejscowych źródeł. W Muzeum i Archiwum Miejskim oraz internecie.

Dawniej w puszczy nad Bobrem żyło wiele drapieżnych niebezpiecznych zwierząt, które wyginęły dopiero w XVIII wieku. Po wielkich drapieżnikach w Kotlinie Jeleniogórskiej pozostały do dziś tylko wspomnienia zapisane w nazwach miejscowości np. Wilcza Poręba (dzielnica Karpacza). W późniejszym okresie pozostały listy i raporty z odstrzałów i polowań w dobrach hrabiowskich Schaffgotschów. Widnieją na nich niedźwiedzie, rysie, bor-

suki, bobry, wydry, wilki i żbiki. W kronikach parafialnych przytaczane są informacje o napaściach wilków na ludzi.

*

Wczesne średniowiecze na Ziemi Sudeckiej pomogły mi poznać i przybliżyć poniższe dokumenty:

Księgi Henrykowskie

Są to kroniki zakonu cysterskiego w Henrykowie pod Wrocławiem. W części I jest o założeniu klasztoru w 1227 r. przez Henryka Brodatego. II część stanowi cenny dokument historyczny zawierający dzieje klasztoru oraz informacje o miejscowościach i mieszkańcach Dolnego Śląska. Księgi są cennym świadectwem polskości Śląska. W nich jest pierwsze w języku polskim napisane zdanie „daj, ac ja pobruszę, a ty poczuwaj”, mówił młynarz Boguchwał do swej żony mielącej na żarnie. W morzu polskości, w klasztorach w tych czasach rosło bogactwo i potęga kolonistów niemieckich.

Psalterz Floriański

– zwany Psalterzem Jadwigi został napisany dla rodziny królewskiej. Jest bogato zdobiony. Przypuszcza się, że inicjatorem jego powstania był klasztor kanoników regularnych w Kłodzku, z którym Jadwiga i Jagiełło mieli związek rodowy. Napisany jest w trzech językach - po łacinie, polsku i niemiecku.

Księga Trutnowska

Napisana przez nieznanego kronikarza. Według legendarnych przekazów w roku 1158 Bolesław Kędzierzawy wysłał w dolinę Jedlicy, na północ od Śnieżki – obok dzisiejszej Przełęczy Okraj, dwunastu poddanych, którzy założyli tam osadę górniczą o nazwie „Żelazna Góra”. Zaczęli wydobywać rudę i przetapiać ją. Zbudowali też drewnianą kaplicę pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Odkryli pokłady ołowiu i miedzionośne żyły w Rudawach Janowickich. Księga zawiera zmianę polskich nazw na niemieckie np.: Bóbr – Bober, Jedlica – Eglitz, Kamienica – Kemnitz oraz zmianę słowiańskich nazwisk.

Mauzoleum Piastów Świdnickich

Ufundowane w **Krzeszowie** 1242 r. przez księżną Annę, wdowę po Henryku Pobożnym. Dobra klasztorne wykupił Bolko I Surowy (jej wnuk) i ufundował opactwo cystersom z Henrykowa. Bazylika NMP stała się mauzoleum książąt Świdnicko – Jaworskich. Spoczywają w nim: Bolko I Surowy, syn Bolka I, Bolko II, Bernard Henryk I Jaworski, Henryk II Świdnicki i inni. W 2004 r. zespół klasztorny został uznany za „Pomnik Historii”. W Bazylice Wniebowzięcia NMP znajdują się ikona Matki Boskiej Łaskawej zwana” Królową Sudetów”. z XIII w, czczona przez Polaków, Czechów Niemców i Węgrów. 17 sierpnia 1997 r. Jan Paweł II ukoronował ten obraz .

Przy pisaniu o obronnych warowniach nad Bobrem odwiedziłem wiele starych miejscowości, które powstały niegdyś na terenie zwartej Sudeckiej Puszczy. Wieś Krogulec nad Łupią pomiędzy Bukowcem a Karpnikami, do dziś stoi bez kościoła, szkoły i poczty. Historia jej sięga odległych czasów Bolka II. Miejscowość jest pięknie położona wśród gór i lasów, w których niegdyś mieszkwały niedźwiedzie i wilki, gniazdowały ptaki drapieżne krogulce, mieszkwały chmary jeleni, które tu i dzisiaj można spotkać. Odwiedziłem też Łomnicę, Karpniki, Wojanów, Bobrów, Trzcińsko, Janowice i Bolczów oraz wiele wiosek w Izerach i na Pogórzu Kaczawskim. Wszystkie są malowniczo położone i tak dawniej jak i dziś robią zaskakujące wrażenie na przybyszach. Aby te pozostałości starej puszczy poznać bliżej od roku 1970 uczestniczyłem w bezkrwawych łowach na terenach obwodów Kół Łowieckich Darz Bór, Knieja, Jeleń, Muflon i innych. Wiele zdjęć przyrodniczych wykonałem w Karkonoskim Parku Narodowym. Przy ogniskach i leśnych gawędach robiłem notatki i zdjęcia. Wrażenia przecież były podobne do tych z przed wielu lat. Tym bardziej że mieszkają tu jak dawniej wilki, ryś stara się odwiedzać Karkonosze, ponoć będą żubry, a w przyszłości może i niedźwiedzie.



Mały słownik języka łowieckiego **oraz staropolskiego**

- ALBINOS** – zwierzę dotknięte bielactwem
AMBONA – stanowisko myśliwskie do obserwacji i polowania
BADNIA – duże naczynie drewniane, dzieża
BADYL – noga sarny lub jelenia
BARĆ – siedlisko pszczół w pniu drzewa
BARŁÓG – legowisko dzika w czasie spoczynku w ciągu dnia.
BAŻANT – ptak łowny z rodziny kurowatych
BEZPIECZNIK – mechanizm zabezpieczający broń przed oddaniem przypadkowego strzału
BIAŁA STOPA – pola przysypane śniegiem
BIEGI – nogi
BIERWIONA – kłody, kłoce
BLIŻNIAKI – naczynie gliniane składające się z dwóch garnków
BODNIARZE – rzemieślnicy wykonujące drewniane naczynia
BORSUK – ssak z rodziny łasicowatych, mieszka w norach, zimę spędza w półśnie
BÓR – typ lasu iglastego
BRENEKA – kula używana do broni śrutowej
BUCHTOWISKO – ziemia poryta przez dziki poszukujące żeru
BYK – samiec: jelenia, żubra, daniela i łośa
CEWKA – noga sarny
CHIŻYNY - chatki
CHŁYST – młody jelen, byk asystujący bykowi stadnemu, kibic, towarzysz przy chmarze w okresie rykowiska
CHMARA – stado jeleni
CHRAM – świątynia

CHYB – gęsta, sztywna szczecina na karku dzika
CIĄGI – przeloty dzikich gęsi lub kaczek na żerowiska
CIETRZEW – ptak wielkości kury z rodziny gęszcowlatych, zamieszkuje wrzosowiska i torfowiska
CYRANKA – dzika kaczka, pod ochroną od 1995 r.
CZAPŁA SIWA – łowny ptak, rybożerny
CZATY – myśliwy czatuje na zwierzynę (zwyżka, ambona itp.)
CZĘSTOKÓŁ – palisada z bali, ogrodzenie
CZOK – zwężenie lufy w broni śrutowej
CZÓŁKI – hełmy
CZUSZYKANIE – głos tokującego koguta cietrzewia
DARZ BÓR – myśliwskie pozdrowienie
DĄBROWA – drzewostany dębowe zamieszkiwane przez dziki
DIANA – rzymska bogini łowów
DRAPIEŹNIK – zwierzę żywiące się innymi gatunkami zabijającymi przez siebie
DROZDY – ptaki z rzędu wróblowatych - paszkioty i kwiczoły
DRYLING – myśliwska broń łamana o dwóch lufach gładkich i jednej gwintowanej
DUBLET – dwa oddane celne strzały, jeden po drugim do dwóch sztuk zwierzyny
DUR – zioło powodujące zaćmienie umysłu
DWORNIA – służba dworska
DWOROWAŁ - pochlebiał
DWUNASTAK – jeleni noszący rogi o sześciu odnogach każdy
DWUNASTKA – broń myśliwska – śrutowa
DYBAĆ – iść po woli
DYBY – gruba deska z otworami na ręce, szyję lub nogi
DZIEWIERZ – ojciec pana młodego
DZIK – łowny krewniak świni domowej, żyjący w lasach
EUSTACHY św. - dawny patron myśliwych
FAJKI – kły dzika w górnej szczęcie, dolne nazywa się szablami
FARBA – krew dziko żyjących zwierząt

FOKSTERIER – rasa psów używanych do polowania na dziki
GACH – samiec zająca
GAMRAT – odynieć w okresie huczki
GEBA – pysk zwierzyny płowej - kozicy, muflona oraz żubra
GEĞAWA – największa z europejskich dzikich gęsi
GEŚLA – instrument muzyczny
GLUSZEC – kurak leśny, skrycie tokuje w Karkonoszach
GON – goniące zwierzynę, szczekające psy
GONTOWY – okrycie z gontów, drewnianych klepek dachowych
GOŚCINIEC – dar gościa
GRABKI – kościane, odgrywały rolę w przygrywaniu miłosnym
GRUCHANIE – głos gołębi
GRZĘDA – stanowisko myśliwego na konarze drzewa
GRZYWACZ – największy z polskich dzikich gołębi
GZŁO – obszerna szata lniana
HAC – grobla
HORODYSZCZE – miejsce po dawnym grodzie
HUBA – grzyb pasożytny na drzewie
HUBERT św. – ok. 656-727, patron myśliwych od XV wieku
HUCZKA – okres godowy dzików
JARZĄBEK – łowny ptak leśny z rodziny głuszcowatych
JAŻWIEC – inaczej borsuk
JUKI – rodzaj worków do przewożenia bagażu na koniu
KAPITALNY – rogacz lub jelen o pięknych rogach
KIERDEL – stado muflonów lub kozic
KLESZCZ – rodzaj pasożyta
KMET – kmieć
KNIAZIANIE – głos trwogi wydawany przez zająca
KNIEJÓWKA – broń myśliwska o lufie kulowej i śrutowej
KOLADA – święto bóstwa obchodzone około Nowego Roku
KOLCE - bransolety
KOŁACZ – duża bułka pszenna lub chleb biały
KOMORA – część ciała grubego zwierza z płucami i sercem

KONTYNA – świątynia
KOPYRA – zając w mowie myśliwskiej i gwarowej
KOROWAJ – placek weselny
KOSY - warkocze
KOT – ryś, żbik, zając
KRUSZCE – metale nieżelazne
KRZYNO – futro
KSIĘŻYC – syn księcia, panicz – syn pana
KUPAŁA – bóstwo słowiańskie czczone 24 czerwca
KWIAT – ogon borsuka i zwierzyny płowej
LECHY – zagony, grzędy
LEDNICA – duże jezioro i wyspa na nim w okolicy Gniezna
LICÓWKA – łania prowadząca stado jeleni
LOCHA – samica dzika
LOSZEK – ziemianka, piwniczka
LUBCZYK – ziele mające moc wzbudzenia miłości
LUSTERKO – kolorowa plama na skrzydłach kaczek
ŁACHA – płytką odnoga rzeki, jeziora
ŁADA – staropolskie bóstwo miłości
LUBIANY – odłupane kawałki kory drzewnej
MIAŁ ZĄB – miał urazę
MIOT – powierzchnia lasu, po której naganka pędzi zwierzynę
MIÓD SYCONY – przerabiany przez gotowanie na pitny
MYŁKUS – zwierzyna płowa ze zniekształconym porożem
NAMITKA – rodzaj chusty
NEMROD – zapalony myśliwy (nazwa żartobliwa)
NIE BARDZO ZAPASNI – nie mamy zapasów
NIEWIASTKI - synowie
OBEREMEK – naręczce, wiązka
OCZEPINA – w czepku, jak mężatka
ODYNIEC – dzik żyjący samotnie, stary samiec
OKURZYĆ – okadzić ziołami
OPOLE – związek terytorialny kilku gmin

OPONY – zasłony, płachty
OREŹ – szable i fajki dzika
OSTATNI KĘS – kawałek iglastej gałązki włożony do pyska grubego zwierza
OSTĘP – trudno dostępne miejsce w lesie
OSTRÓW – wyspa
OŻOK – żarzące się polano
PADŁY – wyraz myśliwski, przepadły, zgniły
PAROSTKI – poroże sarny kozła
PERUKARZ – rogacz lub jeleni byk o porożu w kształcie narośli pokrytym scypulem
PŁAWICZKA – płaska, wąska jednoosobowa łódź
PO WYSTAWIE – po ganku przed wejściem
POCHWIST – bóg wiatru i niepogody
PODJAZDEK – młody, mały konik
PODSKARBINA – klucznica, szafarka
POGONY – gonitwy
POLAŃSKA – wykonana przez członków plemienia Polan
PONOWA – świeży śnieg z tropami zwierząt
PRZESMYK – wydeptana ścieżka, którą przechodzi zwierzyna
PRZEWIEDZIE - przeprowadzi
PUSTYNIE – pustkowia
RAB - niewolnik
RAKIETA – kaczka cyranka w locie
RAPETY – nogi dzika
RUBIEŻE - pogranicze
RYKOWISKO – ruja jeleni, okres godowy
SAMOTRZEĆ – we trzech
SĄSIEKI – miejsce ogrodzone w stodole na zboże
SERBOWIE NADŁABAŃSCY – szczep słowiański, osiadły między Odrą i Sudetami
SKORUBKI – gliniane miseczki
SKÓRZNIE – wysokie buty z miękkiej skóry

SŁONKA – długodzioby ptak, podczas wiosennego lotu godowego chrapie lub gwizdże
SMERDOWIE – słudzy książęcy
SOCHA – drewniany pług
SROM – wstyd
STAJE – miara odległości, nieco ponad kilometr
STATKI – naczynia
STAWKI – nogi lisa i borsuka
STOŁB – murowana wieża
STUDNIA – głęboki dół bez wyjścia
STYPA – uczta po pogrzebie
SUNKIA – skóra okrywająca ciało sarny, jelenia i dzika
SUROJESZKA – surojadka, rodzaj grzyba
SZABAS – przerwa w grze cietrzewi podczas toków w momencie wschodu słońca
SZTRY – namioty
SZYDLARZ – kozioł lub jeleni byk z ostrymi zakończeniami tyk, poroże bez odnóg
ŚWIATOWID – bożek o czterech twarzach
ŚWIEŻOPA – klucz
TABUNY – stada dzikich gęsi
TOK – klepisko, podłoga ubita z gliny
TOKOWISKO – miejsce, gdzie odbywają się toki głuszców, cietrzewi i batalionów
TRYZNA Z OBIATĄ – igrzyska po pogrzebie
TRZĘSAWICA – trzęsawisko, grunty podmokłe
TYKA – jeden róg rogacza, jelenia
TYN – ogrodzenie obronne z belek
UROCZYSKO – miejsce umówionego znaku w lesie
W KLECI – w klatce
W ZRĄB – sposób budowy, szkielet wypełniony kamieniami
WARCHLAK – dzik do jednego roku życia
WATAHA – duże stado dzików, wilków

WENDYJSKIE – zachodniopomorskie
WICI – znaki zwołujące na wiece i wojnę
WIEDŹMY – doświadczone, znające życie
WIENIEC – poroże jelenia byka
WIERZEJ – wrota o dwu skrzydłach
WIETNICE – miejsce gdzie odbywają się wiece
WILKOŁAK – człowiek zaklęty w wilka
WINCHESTER – amerykańska gwintowana broń myśliwska
WINEDA – na pół legendarne miasto słowiańskie nad Odrą
WISZARY – zarośla
WITEŹ – rycerz
WSTECZNIAK - stary rogacz, jelen o starzejących się rogach
WYCINEK – dzik od dwóch do trzech lat, samiec
WYŻARY – leśne pogorzeliska, na gruncie torfiastym
ZABOROLE – kłody
ZABYWSZY – zapomniawszy
ZASIEK – ogrodzenie z pni i gałęzi
ZESTRZAŁ – sierść odcięta kulą w miejscu strzału
ZIMNICA – febra
ZŁOM – najwyższe odznaczenie łowieckie: obłamana świerczyna, zamaczana w farbie, wręczona myśliwemu po strzeleniu grubego zwierza
ZMORY, STRZYGA, LATAWICE, NOCNICE – złe duchy
ZWIERZ KAPITAŁNY – odznaczający się kondycją i wagą ciała
ZWIERZYNA CZARNA – dziki
ZWIERZYNA PŁOWA – sarny, danielę, jelenie
ZWYSZKA – stanowisko myśliwego na stogu
ŻALE – naczynia do obrzędu pogrzebowego
ŻALNIKI – tyle, co cmentarze
ŻARNA – przyrząd z kamieni do miażdżenia ziarna na mąkę
ŻMIJ – smok
ŻUPAN – naczelnik kilku rodów

SUDECKA BAŚŃ:

W opowieści Zbigniewa Adamskiego odżywają:

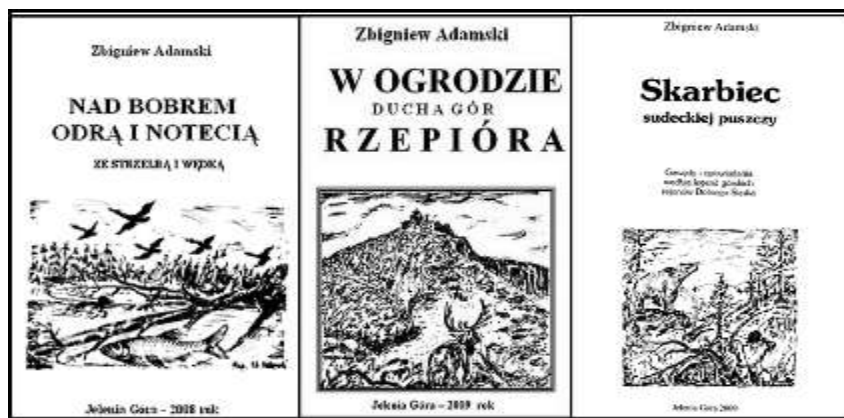
- * Dawne dzieje naszych pradziadów
- * Kultura łowiecka z początków średniowiecza
- * Wydarzenia, które mogły być prawdopodobne
- * Postacie ludzi, o nazwiskach lechickich

SUDECKA BAŚŃ:

Adresowana jest przede wszystkim do młodzieży, miłośników przyrody i historii, interesującej się przeszłością Dolnego Śląska. Odkrywa prawdopodobne strony z życia przodków, bogatej przyrody i urodę Gór Śnieżnych „Karkonoszy”.

Opowieści, rysunki i barwne fotografie dzikich mieszkańców Kotliny Jeleniogórskiej powinny być w Twojej bibliotece.

Polecam następujące książki o tej tematyce:



Zbigniew Adamski

KSIĄŻKI PRZYGODOWO – ŁOWIECKIE

Foto Kronika KL Darz Bór T I 1970-1973
 Foto Kronika KL Darz Bór T II 1974-1980
 Rospudą do Puszczy Augustowskiej
 Moje spotkania z przyrodą
 40 lat MZKS KARKONOSZE
 Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórzu
 Ze strzelbą i wędką
 Ontaryjskie safari
 Nad rzeką św. Wawrzyńca
 Łowy z kamerą
 W królestwie Diany
 Z wędrówek po puszczach
 Tęczowe lasy Kanady
 Skarbiec św. Huberta w Zach. Krainie Sudetów
 Na tropach książek (katalog)
 Stowarzyszenia myśliwskie w grodzie nad Bobrem
 Łowy z wędką
 W ogrodzie Ducha Gór Rzepióra
 Nad Bobrem, Odrą i Notecią
 Skarbiec Puszczy Sudeckiej
 Koło Łowieckie „Darz Bór” w Jeleniej Górze
 Koło Łowieckie „Knieja” Jeleniej Górze
 Dziennik „Foto-Klubu Celwiskoza”
 Foto Kalendarz 2011
 Grafiki z moich książek
 Koło Łowieckie „Jarząbek” znad Zal. Mietkowskiego
 Baśń Sudecka o grodzisku Strupicza

wydanie autorskie Jelenia Góra
 wydanie autorskie Jelenia Góra
 1980 Muzeum Karkonoskie
 1984 Muzeum Karkonoskie
 1987 MZKS Karkonosze
 1997 SK Wrocław
 1998 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2000 Sp. Kom. RKA w Inowrocławiu
 2002 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2003 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2004 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2004 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2005 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2006 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2006 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2007 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2008 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
 2008 AD REM w Jeleniej Górze
 2009 TOTEM w Inowrocławiu
 2010 AD REM w Jeleniej Górze
 2010 TOTEM w Inowrocławiu
 2010 TOTEM w Inowrocławiu
 2010 TOTEM w Inowrocławiu
 Muzeum Przyr. w Jeleniej Górze
 2011 Wydanie elektroniczne
 2011 TOTEM w Inowrocławiu
 2012 KSIĄŻNICA KARKONOSKA



SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
Na początku była Mysia Wieża	9
1. Na skraju wielkiej puszczy	11
2. Turze uroczysko	21
3 Na Mieszkowym Szlaku	27
4. Miodowe żniwa	33
5. Napad wilków	41
6. Gniazdo nad Bobrem	47
7. U rybaków z Nielestna	51
8. W Grodzisku Strupicza	61
9. Mieszkańcy lipowej polany	65
10. Pokot jeleni nad Młynówką	70
11. Wyprawa Jakuba Świnki	76
12. Na dziki w Lipowym Wąwozie	80
13. Jaskiniowy Bartek	88
14. Pożar Grodziska nad Złotuchą	92
15. Łowy u Bolcza na Sokolcu	96
16. Pod szczytami Gór Sokolich	105
17. Groźny niedźwiedź z Koziańca	111
18. W myśliwskim dworcu pod Wleniem	116
19. W leśnej świątyni na Rozdrożu Izerskim	123
20. Hubertus pod zamkiem książęcym	127
21. Baca z Rudaw Janowickich	131
22. Raniony dzik młodego Parera	137
23. Wiosenny turniej na Bolczowie	141
24. W gawrze pod Wilczyskiem	149
25. Pod piastowskimi orłami z Krzeszowa	153
Mały słownik języka staropolskiego i łowieckiego	160
Wykaz książek autora	168